№ 38 Warszawa, dnia 8 (20) Września roku 1879.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Listy z podróży (dalszy ciąg). — Nowa wiosna (wiersz). — Flaminia (dalszy ciąg). — Pieniądze (dalszy ciąg). — Kronika Paryzka. — Przegląd literacki.
W dodatku: Szalone ożenienie przez M. A. Fleming, przekład z Angielskiego przez J. B. (dalszy ciąg).

LISTY Z PODRÓŻY.

przez Stefana Marusińskiego.

(Dalszy ciąg).

Kair, 5 października 1878 r.

Już od kilku dni jestem tutaj zwiedzając wszystko godne widzenia, i jutro zamierzam udać się daléj. Na małym statku nilowym wynająłem miejsce wraz z jednym Niemcem który udaje się do Górnego-Egiptu jako fotograf. Ponieważ zaś taki statek idzie bardzo powoli, płynie bowiem przeciw prądowi, postanowiłem więc iść po nad brzegiem rzeki, dla zwiedzania różnych ciekawości oraz polowania, gdyż teraz kiedy Nil wylał mnóstwo dzikiego ptactwa na jego brzegach się gnieździ. Nowy mój towarzysz zna dobrze język arabski i bawił już dłużéj w Egipcie, podróż będę więc miał przyjemną bo zawsze we dwóch jest lepiéj. Z Aleksandryi do Kairu jechałem koleją wśród przepysznéj okolicy: łany zielonéj kukurydzy, gaje palmowe, pola patatami zasadzone, wszystko to piękny przedstawiało widok. Lecz najpiękniejszym jest Nil który na teraz w całym majestacie się przedstawia. Na niektórych miejscach, gdzie woda już trochę opadła, sieją Arabowie rozmaite zboże które w Grudniu będzie już zżęte i do stodoły wprowadzone. O mieście Kairze sam nie wiem co mam powiedzieć, jest ono bowiem tak pięknem i ogromnem, że chyba musiałbym mieć całe miesiące wolne na opisanie tego grodu. Dość powiedzieć że pod względem piękności jest pierwszem miastem oryentalnem, sama już nazwa „Perła Wschodu" wystarcza aby ocenić co to za czarujące miejsce.

Przedwczoraj bardzo rano udałem się na zwiedzenie piramid, do których droga ocieniona tamaryndami i sykomorami. Z po nad Nilu wydają się piramidy nadzwyczaj blizko, lecz odległość wynosi dobre ³/₄ mili od miasta. Wejście na piramidę Cheopsa odbywa się w następujący sposób: dwóch Arabów bierze podróżnego za ręce a trzeci popycha z tyłu. Droga nie jest zbyt uciążliwą. Z wierzchołka zaś widok jest cudowny, nie do opisania! Całe miasto Kair z jego muzeami, kioskami, cytadelą i mnóstwem pałaców, przedstawia się jak czarowny sen oczom naszym. Nil wije się jak srebrny wąż śród zielonych pól i gajów palmowych, na wschód zaś i zachód ciągnie się puszcza ze swymi żółtemi piaskami. Na południe zaś w oddaleniu kilku mil, spostrzega się piramidy Abbucir i Sakkarah stojące w okolicy dawnego miasta Memphis.

Te które zwiedzałem zwą się „Piramidy w Gizeh" stanowią one grupę złożoną z 3-ch sztuk, pierwsza piramida Cheopsa jest najwyższą i na nią tylko wejść można, druga bowiem w okolicach wierzchołka pokryta jest gładkiemi zupełnie flizami kamiennemi. Piramida Cheopsa jest wysoka na 421¹/₂ stóp, pierwotnie wynosiła 480. Jest to więc olbrzym budowy. Co do obszaru jaki zajmuje to jest więcéj niż 20 pruskich morgów. Z wierzchu jéj rzucony kamień, ręką najsilniejszą, spada już w połowie piramidy na schody po których się wstępuje. Cóż to za olbrzym! Co do starości jéj, to prawdopodobnie stoi już około 5,000 lat. Według podań budowa takiéj piramidy miała 106 lat trwać, robotników zaś było 400,000, tak przynajmniéj opisuje Herodot. Co do trwałości tych olbrzymów dość przytoczyć przysłowie arabskie: wszystko boi się czasu lecz czas boi się piramid. Niedaleko od niéj znajduje się Sfinks oraz wiele grobów dzieci i dygnitarzy dawnych Faraonów. Jest téż i jedna mała piramida gdzie podobno córka któregoś Faraona pochowaną była. Zwiedza się także wnętrza tych piramid, gdzie były sarkofagi i trumny ich fundatorów.

Tutaj w Kairze na te parę dni stanąłem u Niemców, którzy wyobraźcie sobie, prócz piernata i poduszek dali mi jeszcze olbrzymią pierzynę, gdyż gospodyni myślała że ma z Niemcem do czynienia.

Uśmiałem się zobaczywszy to łóżko, bo wyobraźcie sobie tylko, w Afryce spać pod pierzyną na to trzeba tylko Niemca.

Kończę już bo sam muszę odnieść list na pocztę, która dość daleko od mego mieszkania leży, miasto bowiem jest rozległe liczy blizko 700,000 mieszkańców. Przytem przygotowania do podróży jeszcze nie uzupełnione.

(d c. n.)

NOWA WIOSNA.

„O gioventù, primavera dell'vita,
O primavera, gioventù del anno!"

Z wianuszkiem świeżych fiołków na pogodnem czole,
I z czystem, jak łza, niebem w lazurowych oczach,
Witaj nam nowa wiosno! Już czujem twą wolę,
W twych rankach i wieczorach, w twych dniach i twych nocach!

Tyś przyleciała do nas na skrzydłach bociana,
Z pierwszym, ciepłego wiatru, rzeźwiącym powiewem,
Taka śpiewna a w kwiaty i pączki ubrana;
Cała, jedną girlandą, cała, jednym śpiewem!

I kędy się ty zbliżasz, wszędy niesiesz życie,
Odmładzasz ten świat stary w biały śnieg powity,
I pojąc serca nasze rozkoszą obficie,
Budzisz nowe uczucia i nowe zachwyty!

Wiosno, młodości roku! O witaj nam, witaj!
Usypiaj w nas swą piosnką to wszystko co boli,
A wesel nas, pocieszaj, zachwycaj! Rozkwitaj
Nie tak prędko, kochanie! Powoli, powoli!

Młodości, wiosno życia! Z wiosną roku w parze
Dźwignij się! Brudnych śniegów zrzuć stare łachmany
I nieś nowe ofiary na nowe ołtarze,
Których poczet ci ręką przeznaczeń wskazany.

Z nową wiosną, każdemu kto młody a żyje...
Promień jasnego słońca niech świeci wesoło!
Niechaj nowych czynności godzina wybije,
I nowe, lepsze życie niech zawre w około,

Niech się dla nowéj wiosny szereg serc otwiera!
Niech każdy tę kochankę przyciska do łona!
I gdzie jakie złe było, niech z zimą umiera,
Gdyż dobre z wiosną ku nam wyciąga ramiona!

Henryk Kwiatkowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Astmatyczny kaszel tłuszczem przepełnionéj szyi przeszkodził zacnéj pani Piotrowéj, obywatelce wyższego urodzenia w dalszych uwagach. Pani Piotrowa uważała to za szyk wielki aby się w domu niczego nietknąć, tylko cały dzień na fotelu siedzić i co najwięcéj z cienkich sieci siatkę wyrabiać mimo że lekarz domowy zalecał jéj więcéj ruchu i zatrudnienia przy gospodarstwie domowem. Pani Piotrowa uważała to jednak niżéj swojéj godności i urodzenia swego, chociaż znowu o tem urodzeniu ludzie różnie mówili.

Taka stęchlizną, pleśń owiewała zawsze młodą parę a nawet wtedy gdy jéj nikt publicznie nie widział.

Młoda para nie słyszała tego wszystkiego i było jéj z tem bardzo dobrze.

Jeżeli na zewnątrz ożenienie się Maryana tak smutny dla spektatorów powiatowych przedstawiało widok, wewnątrz jednak dworu wyglądało ono inaczéj. Była to atmosfera cichego, prawdziwego szczęścia. Widać to było po ożywionéj twarzy Maryana i oczach jego jasno błyszczących. Flaminia miała na ustach uśmiech słodkiego upojenia, a w ciemno-szafirowych oczach gorzała jasna niczem nie zasępiona pogoda.

W całem otoczeniu młodéj pary widać było to szczęście. Zaraz w pierwszych dniach objęła Flaminia całą sytuacyą i natychmiast zastosowała się do niéj. Wiedziała już że tu trzeba będzie oszczędności, wielkiéj oszczędności a przytem i pracy, aby to wszystko w całości utrzymać. Nie mając na razie sił i środków do szerszego działania, zakreśliła sobie ciaśniéjszy zakres, ale w tym zakresie rozwinęła nader skuteczną działalność. Najprzód zrobiła ład i porządek w pokojach dworskich. Zasłoniła starannie wychylającą się z kątów ruinę, poustawiała sprzęty w innym porządku, kazała połatać i pokryć dziury i plamy starości i tak małemi środkami i pracą zmieniła w krótkim czasie wewnętrzną fizyognomią starego dworu, który teraz miał pozór świąteczny i wcale przyzwoity. Nie było już ścian obszarpanych, ani szyb pobitych i pieców popękanych. Posadzka lśniła się w wszystkich pokojach, firanki przy oknach były śnieżnéj białości, a dywany odzyskały dawne swoje świetne barwy.

Gdy już w pokojach wszystko się odświeżyło i uporządkowało, przeszła do kuchni, śpiżarni i garderoby. Tam była praca istnie herkulesowa. Dwory nasze przypominają pod tym względem owe świetne przepychy wschodnie po za któremi widać kupy śmieci i brudu... Wiele, bardzo wiele pracy kosztowała ta reforma tradycyjnych brudów, ale jakoś to wszystko dobrze się skończyło mimo protestów całéj kuchennéj i garderobowéj populacyi. W kuchni było czysto, naczynia miedziane były pobielane i lśniły się, stoły codziennie myte a po kątach nie było ani jednéj kupki śmiecia. Kucharki i dziwki musiały być choć raz na dzień umyte i miéć bieliznę czystą. Psy dworskie nie żyły wyłącznie kradzieżą i rozbojem, za co były bite i kaleczone, ale dostały przyzwoite utrzymanie pod warunkiem dobrego zachowania się. Koty, którym kuchennemi nożami ucinano ogony, otrzymały przywiléj osobistéj nietykalności, za co znowu zwrócić się musiały do swego pierwotnego zawodu wędrując na strychy i do piwnic.

Gdy już we dworze i oficynie jaki taki ład panował, zajrzała młoda gospodyni do stajni i obory Tam najwięcéj było do zrobienia i największy był opór. Potrzeba było prośby i groźby, trzeba było osobistego nadzoru i szerokich kazań aby przynajmniéj coś do skutku doprowadzić. Wreszcie i tam stanął w końcu jakiś lepszy porządek.

Teraz z poczynającą się wiosną przyszła koléj na ogród, o którym marzyła Flaminia, jak o koronie całego szczęścia swego. Korona ta wprawdzie wyglądała bardzo smutno. W ostatnich czasach nie było za co uczonego ogrodnika trzymać. Zastępował go chłopak wiejski, ongi jego podręczny. Młody próżniak zrobił w krainie Flory takie spustoszenie, że wszystko jak ruina wyglądało. Flaminia zajęła się z całą namiętnością przywróceniem tego wszystkiego do życia co tu niegdyś olśniewało przepychem. Wprawdzie środki dzisiejsze nie wystarczały, ale pracą i chęcią umiała te środki podwoić i prawie cudu niemi dokazać. Nietylko, że róże, fijołki i georginie napowrót zaludniły opustoszałe trawniki, ale nawet i w departamencie egzotycznych cieplarni mieszkańców zrobił się ład i miły porządek. Obok téj arystokratycznéj populacyi ogrodowéj niezaniedbano i tak zwanego trzeciego stanu, na którym podług ekonomistów właściwie opiera się każde społeczeństwo, a nawet i żywioł ludowy znalazł tutaj zbawienną opiekę. Szparagi, kalafiory, kapusta, buraki a nawet i chudopacholskie kartofle otrzymały przynależne swoje stanowisko, i każdemu z nich zagwarantowano na pewnéj przestrzeni wolność osobistą i osłoniono prawem publicznem. Połatano dziury w płotach i wydano manifest królewski, aby pewnym, komunistycznych skłonności zwierzętom, niewolno było jak dotąd przekraczać tych płotów i w interesach obcéj społeczności wyrządzać spustoszeń.

Wszystko to zrobiło się w dwóch miesiącach. Nie było wprawdzie przy téj robocie owych cudnych widoków Adryatyku, nie było nigdzie owych mozajek i marmurów drogich, owych pałaców i kościołów z głębi morza jak fontanny wytryskujących... owych poetycznych gondoli i śpiewających ich sterników... owych fal smaragdowych morza, w których księżyc w jasnéj nocy tak czarodziejsko się odbija... nie było nawet tego uroku, jakie zazwyczaj wywierają hotele weneckie, niegdyś dawnych książąt pałace urządzone dzisiaj z całą wykwintnością dziewiętnastego wieku... wszystkiego tego w tych dwóch miesiącach nie było w Tuliwodach, a jednak czas ten i ta robota były bardzo przyjemne. Nie brak było i tu pewnéj rodziméj niemniéj uroczéj poezyi, chociaż ta poezya odmienną była od poezyi Weneckiéj. Wenecką poezyą mógł każdy zobaczyć, kto tylko zapłacił, a tu trzeba było szukać téj rodziméj poezyi sercem kochającem. Trzeba było kochać ludzi i ziemię, kochać przeszłość i przyszłość. A ponieważ w Tuliwodach były takie serca, więc nie brak im było poezyi i szczęścia, jakie ona daje. Cieszono się wspólnie każdem postępującem dziełem, które w ich oczach rosło i powoli w piękny zaokrąglało się widok. Maryan z rozkoszą patrzył na krzątającą się w koło domu Flaminię a biały jéj fartuszek który piękną pierś osłaniał, wydawał mu się najstrojniejszym kostiumem z samych koronek.

Wielki świat powiatowy nie widział tego wszystkiego. Nie widział co się wewnątrz ścian dworskich dzieje ani w całem obejściu gospodarskiem. On widział tylko zdala ten sam stary dwór, a leżące w koło niego kupy węgli nadawały mu w oczach jego podobieństwo do pustkowia... To też z tego tylko sądził co widział, a o tem czego nie widział, nie miał nawet wyobrażenia.

Tak nadszedł maj i przyniósł z sobą najpiękniejszą polską wiosnę. Było teraz w Tuliwodach tego wszystkiego pod dostatkiem, za czem w tak poetycznéj Wenecyi przez całe życie na próżno wzdycha każda Wenecyanka... były kwiaty i drzewa zielone, była woń tych kwiatów w powietrzu i owa roślinnością orzeźwiona atmosfera, o jakiéj mieszkaniec marmurów Weneckich nie ma wyobrażenia. On wie tylko z opowiadania, że tam gdzie przy pogodzie majaczy na niebie cienka długa nierówna smuga, że tam jest ziemia trawą porosła, że w lecie wygląda jak najpiękniejszy dywan, że na téj ziemi rosną wysokie drzewa i rodzą się owe wszystkie odmiany ryżu, kukurydzy i pszenicy, jakiemi on się tutaj żywi...

A wszystkiego tego obficie było w Tuliwodach. Była w ogrodzie najpiękniejsza trawa, były kwiaty i drzewa zielone, była owa wiosenna woń w powietrzu, która tak dziwnie działa na serca ludzkie.

Z widoczną gorączką rozmarzona rozkosznem oczekiwaniem wychodziła Flaminia co kilka chwil na werendę i przykładała rękę do czoła, czy czego w oddali nie zobaczy. A gdy w oddali nikogo nie było, wracała wtedy szybko do pokoju aby tam jeszcze coś poprawić, coś przeinaczyć. Wychodziła także do ogrodu, aby się przekonać czy i tam wszystko w tym porządku jakiego sobie życzyła.

Twarz młodéj gospodyni była zarumieniona. Nieukrywała wcale wzruszenia jakiego w téj chwili doznawało jéj serce. A było to wzruszenie błogie i rozkoszne, bo dzisiaj .. mieli z Wenecyi wrócić rodzice Maryana.

Flaminia cieszyła się jak dziecko tym powrotem, ale chciała oraz, aby dwumiesięczne jéj rządy przedstawiły się w świetle jak najlepszym. Chciała, aby rodzice męża znaleźli w starym dworze swoim to, czego w Wenecyi nie było, aby obok wygód znaleźli owo ciepło, które tylko rodzinne kąty mogą dać człowiekowi.

Pokoje dla rodziców wybrała najwspanialsze, a sama z Maryanem cofnęła się do tylnych izdebek. Pokoje te przybrała w to wszystko, co było najlepszego we dworze, a korzystając z wyjaśnień różnych Maryana, zgromadziła w nich wszystkie wygody, jakie lubił pan Salezy a do jakich także przywykła pani Apolonia. A wszystko to urządziła własną ręką swoją, bo chciała aby to ciepło jéj ręki pozostało w tych pokojach i świadczyło o cieple jéj serca, z jakiem przyjmuje w domu rodziców swego męża. Nie zapomniała o żadnych drobnostkach, o których wiedziała, że starym ludziom sprawią przyjemność.

I nie robiła Flaminia tego wszystkiego jakby z obowiązku, bo widać było po jéj twarzy i całéj postaci, że ta robota sprawia jéj prawdziwe szczęście. Maryan uśmiechał się do siebie patrząc na młodą

żonę i cieszył się w duchu ze szczęścia rodziców, gdy o takiem przywiązaniu do nich Flaminii się dowiedzą. Przy takiem szczęściu zapomniał nawet na czas niejaki kłopotów swoich gospodarskich, bo kochające serce Flaminii umiało jakoś zasłonić te kłopoty a przynajmniéj odrażający odebrać im widok.

Wreszcie po dwukrotnéj wycieczce aż do figury przy drodze spełniło się gorące oczekiwanie Flaminii, powóz wiozący rodziców Maryana pojawił się śród tumanów kurzu.

O jakże rozkosznie biło teraz jéj serce, ale jakaż trwoga ogarnęła równocześnie jéj duszę. Czy rodzice Maryana powitają ją z tem uczuciem gorącem, z jakiem owego czasu przycisnęła ją pani Apolonia do swego serca? Czy spodoba się im dwumiesięczne jéj gospodarstwo, czy zechcą uznać owe drobne reformy, jakie zaprowadziła? Czy przerobiona kuchnia nie wyda się im za szczupła, czy wprowadzone oszczędności nie dotkną ich boleśnie? Wprawdzie zamówiony obiad dzisiejszy różni się o wiele od zwykłych codziennych obiadów, jakie dotąd spożywała młoda para, ale czy ten obiad mimo to nie będzie za skąpy dla takich gości jakiemi są rodzice męża?...

Wszystkie te drobne skrupuły ozwały się nagle w sercu młodéj gospodyni i żałowała tylko, że prędzéj o nich nie pomyślała, aby im przynajmniéj więcéj czasu poświęcić. Teraz już trudno poprawić się, powóz dojeżdża już do alei topolowéj... już się schował w alei... już...

I z pięknym rumieńcem na twarzy, z błyszczącemi od radości oczami rzuciła się Flaminia do drzwiczek powozu który teraz zatrzymał się przed gankiem.

Dla przepełnionego jednak radością serca nie było sposobności aby folgę sobie sprawić. Drzwiczki staréj arki nie mogły się tak prędko otworzyć. Przyszedł w pomoc Maryan a z drugiéj strony służący i zabrało to dosyć dużo czasu. Tymczasem witano się tylko słowami. Mówiono przytem o złych drzwiczkach, a starym powozie o pęknięciu w drodze jednego ressoru i podbiciu się konia. Wszystko to ochłodziło już znacznie pierwszy zapęd powitania. Prócz tego nogi pana Salezego nie chciały w żaden sposób wyprostować się i wiele potrzeba było czasu i zachodu, zanim najprzód pan Salezy a potem pani Apolonia mogli dostać się na grunt stały. Zaledwie ten grunt stały poczuli trzeba było wrócić choć głową napowrót do pudła w którem siedzieli przez drogę i tam zbierać różne drobne rupiecie, aby się czego nie zapomniało, jak po raz dziesiąty powtarzała pani Apolonia.

Śród tych drobnych umartwień życia ludzkiego zapomniano o lepszem przywitaniu się z dziećmi. Wprawdzie Maryan miał czas śród tych zajęć podróżnych ułowić rękę ojca i ją pocałować, to samo uczynił także i z ręką matki, która przypadkowo z pod grubego szalu na chwilę wyjrzała, ale przywitanie takie żadnego należytego na witających nie sprawiło wrażenia. Ręka którą Maryan ucałował, była właśnie ręką sparaliżowaną a pan Salezy prawdopodobnie nie uczuł tego pocałunku. Pani Apolonia znowu wyciągała rękę swoją z pod szalu wcale po co innego, a napotkana w drodze przeszkoda sprawiła, że jedno z pudełek, w którym były cukry i ciasta, upadło na ziemię i nie mało w ciastach narobiło spustoszenia.

Jeżeli przywitanie Maryana tak fatalnie wypadło przywitanie Flaminii było jeszcze gorsze. Kilka razy zbliżała się Flaminia do rąk rodziców, ale rodzice odwracali się od niéj w chwili właśnie najgorętszéj i zabierali z sobą ręce, po które nadaremnie sięgała młoda kobieta. Stało się więc, że z Flaminią nawet nie przywitano się. Tyle było torbeczek i pudełek, tak długo trzeba było szperać po różnych kątach powozu, że gdy w końcu wszyscy w pokojach już stanęli; zdawało się panu Salezemu i pani Apolonii, że już z wszystkiemi należycie się przywitali.

Pozostała jeszcze atoli stara służba. Ta przychodziła teraz po kolei i ściskała kolana swoich dawnych chlebodawców. Téj służbie poświęcił pan Salezy wiele afektu. Ściskał za ręce, podnosił z ziemi, o zdrowie familii dopytywał się. Pani Apolonia pamiętała nawet o téj służbie, i każdemu z nich przywiozła jakiś upominek. Otwierała teraz różne paczki, wyjmowała z nich upominki i rozdawała. Była to scena bardzo piękna, prawdziwie patryarchalna, ale na Flaminii sprawiła wrażenie bardzo smutne. Łzy stanęły jéj w oczach. Dla niéj nie było żadnego uścisku, żadnego cieplejszego słowa, dla służby poddostatkiem wszystkiego. Zakrawało to nawet na pewną demonstracyą przeciw niéj. Ją zostawiono na boku, a otoczono się dawnymi domownikami, pozostałością dawniejszych rządów. Cóż to mogło znaczyć?...

Wreszcie skończyły się podarunki, pan Salezy usiadł w pokoju i zaczął Maryana pytać o różne szczegóły gospodarskie, które już z natury rzeczy były bardzo nieprzyjemne. Pytał o różne przez siebie jeszcze pozaciągane długi, o które zgłaszano się do niego aż do Wenecyi. Prosił Maryana aby wierzyciolom nic nie urywać, aby im wszystko oddać, bo jakkolwiek jest to lichwa, jest jednak także na wekslach jego nazwisko.

Rozmowa taka sprawiła na Flaminii przykre wrażenie. Wyszła z pokoju, aby się udać do kuchni i tam obiadu przypilnować.

Gdy wróciła napowrót, zastała jakieś niemiłe milczenie. Maryan siedział z twarzą zmartwioną a pani Apolonia wzdychała. Pan Salezy miał wypieczone rumieńce na twarzy jakby był czemś rozdrażniony.

Zapytano o obiad. Flaminia pobiegła znowu, przyłożyła sama rękę w kuchni i z zarumienioną od ognia twarzą wróciła napowrót z dobrą nowiną, że wkrótce będzie obiad na stole.

Pan Salezy spojrzał na zarumienioną twarz Flaminii, uśmiechnął się i rzekł:

— Flaminii jak widzę służą Tuliwody... wątpię aby mnie tak posłużyły. Odkąd przyjechałem czuje duszność w piersi. Zdaje się, że to skutek tego spaleniska, które do koła dwór otacza.

O kwitnącym ogrodzie, o kwiatach i krzewach jakiemi Flaminia cały stary dwór otoczyła, nie wspominał ani słowem. Serce Flaminii ścisnęło się, łzy cisnęły się jéj do oczu.

Nadszedł obiad. Flaminia dołożyła wszelkich starań aby ten obiad był dobry i smaczny... ale pan Salezy nie pochwalił żadnéj potrawy. Wrócił do wspomnień weneckich i zaczął mówić o wytwornych *tablé d'hotes*, jakie tam przez pół roku jadał...

Po obiedzie wyszli wszyscy na werendę. Tam jeszcze więcéj pokwaśniał humor starego paralityka. Gniewał się że czarny komin pozostały po gorzelni sterczy jak szubienica, że drzewa stare poopalane, że gruzy walają się przy saméj drodze. Pytał Maryana, czy nie myśli stawiać budynków i dlaczego dotąd w tym względzie nic nie zrobiono.

Maryan tłomaczył się, że Elizie musiał dać pieniądze, że panu Krzysztofowi musiał także oddać, i to w czasie gdy interes, z którego spodziewał się pieniędzy, do skutku nie przyszedł. O pieniądzach które pochłonęła Wenecya nie wspomniał ani słowa.

Pan Salezy westchnął, pani Apolonia westchnęła także a Flaminia słyszała dobrze te westchnienia.

Przedewszystkiem bolało młodą gospodynię, że o jéj pracy i zabiegach domowych, o odświeżeniu sprzętów i pokojów, o uporządkowaniu ogrodu, na który z okien i z werendy patrzano, nikt nic nie wspomniał. A przecież było to jéj dzieło, dokonane tak bajecznie małemi środkami. Dzieła tego nikt nie pochwalił, nawet uwagi na to nie zwrócił.

Nie mogło być nawet inaczéj. Pan Salezy miał jeszcze żywo przed oczami czarodziejskie widoki Wenecyi, jeszcze czuł ową rozkosz tak wykwintnych wygód, jakiemi był tam otoczony, aby zwracać uwagę na takie rzeczy jak płotem ogrodzony ogród dworski i kilkadziesiąt drzew zielonych... Jeszcze widział przed sobą owe wygodne marmurowe schody nakryte miękkim dywanem, owe przedsionki bogato złoconą rzeźbą zdobione, ową usłużną na każde zawołanie gondolę ze stalowym grzbietem...

Rodzinne ustronie wyglądało w obec tych świetnych wspomnień jak pustkowie, a kłopoty tego pustkowia, które tam nie dolatywały, stanęły teraz w barwach jaskrawych...

W takim stanie trudno było o dobry humor, a zły jego humor zarażał drugich. Pani Apolonia wzdychała ustawicznie i ani razu nie zapytała Flaminii z kąd się wzięły tak piękne kwiaty pod oknem jéj pokoju...

Smutno i w powszechnym roztroju minął pierwszy dzień powrotu rodziców. Gdy Flaminia późnym wieczorem na spoczynek się udawała zapłakała skrycie, bo w sercu swem czuła jakąś boleść nie odgadnioną. Ona w tym dniu spodziewała się ciepła i gorąca dla serca swego, a tymczasem owiał ją jakiś chłód zimny i przykry jak wiatr listopadowy...

Następne dni nie były lepsze od tego pierwszego. Pan Salezy siedział milczący i wzdychał, pani Apolonia robiła jakąś wotywną robotę do kościoła, na któréj były same krzyże i trupie głowy.

Maryan także jakoś posmutniał. Przyjazd rodziców, na który tak się cieszył z Flaminią i tyle przyjemności od niego wyczekiwał, przyniósł mu zamiast spodziewanéj radości wiele przykrych wymówek, na które nie był przygotowany.

Osobliwie nie podobała się panu Salezemu zaprowadzona teraz we dworze oszczędność. Zamiast trzech lokai w świetnéj liberyi jednego quasi-kamerdynera był teraz tylko jeden służący w skromnem ubraniu z dodatkiem małego chłopaka. W stajni dla koni cugowych było teraz przestronno. W wozowni nie było ani jednego modniejszego faetonu tylko same dawne stare wehikuły. A szory nie miały nawet herbów jak dawniéj. Kucharza, który u książąt edukacyą kulinarną pobierał, nie było także a na jego miejsce jakiś kupciuch, jak się wyraził pan Salezy, psuł potrawy i zatruwał żołądki. Panu Salezemu wydawało się, że go jak starego żołnierza zredukowano na połowę żołdu...

Pani Apolonia miała także powody do swoich westchnień które gorsze były od szorstkich słów pana Salezego. Nie chciała wierzyć, że Maryan dla młodéj żony nie sprowadził nowéj karety z Wiednia i że w takiéj karecie nie obwoził ją z wizytami po przedniejszych domach sąsiedztwa. Wstrzemięźliwość Flaminii od wizyt była dla niéj niewytłumaczonym błędem organicznym. Nie dało to jéj nawet dobrego wyobrażenia o wychowaniu swojéj synowéj. Widziała teraz jasno że ożenienie się Maryana nie sprawiło w sąsiedztwie żadnego efektu a nawet obawiała się, że wywołało wrażenie jak najgorsze. Wstydziła się za syna i za synowę i wzdychała za każdym ściegiem igły, którą krzyże i trupie głowy na kanwie wyszywała.

Niepodobna zaprzeczyć, jakoby oprócz tych wyliczonych tutaj powodów, nic innego nie przyczyniało się do owych kwaśnych humorów, jakie teraz w sta-

rym dworze panować zaczęły. Na dnie tego niezadowolenia leżały pewne rozczarowania, co do wymarzonych dawniéj nadziei rodzicielskich. Eliza miała tak świetnie wyjść za mąż, a tymczasem okazało się że te wszystkie rojone świetności były prostą bańką mydlaną która prysła w powietrze i brudną cieczą patrzących oblała... Ożenienie się Maryana wpisano także niegdyś w pozycye aktywów, a tymczasem pozycya ta została zajętą przez cyfrę, która w życiu powszedniem żadnego nie ma kursu.

(*d. n.*)

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez **Bulwera**,

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

Scena IV.

Graves, Evelyn.

Graves. Zaczekam. (służący wychodzi). Ona była godną znać moją utraconą Maryę. Tak łaskawa że mnie zaprasza do siebie nie po to żeby pocieszyć, bo to jest niepodobieństwem, ale żeby ulżyć mojéj boleści. Będzie to smutna scena (spostrzegając Evelyna). Jesteś tu Evelyn? Mówiono mi przed chwilą że miejsce w parlamencie z Groginhole nakoniec wakuje. Czemubyś nie miał stanąć do wyborów, mając taką własność jak Groginhole? Możesz przeprowadzić swój wybór nawet bez wielkich starań.

Evelin. Ja, który nienawidzę tych sporów o zdźbło słomy, tych wiekuistych walk pomiędzy władzą a człowiekiem, ja miałbym zostać jednym z szermierzy? Nigdy.

Graves. Masz słuszność, przepraszam cię za mój pomysł.

Evelyn (na str.). A jednak Klara mówiła coś o obowiązku. Będzie mnie żałować jeśli się odznaczę w świecie. (głośno) Jednakże, Graves, jakbądź ludzie są zepsuci i źli do gruntu, jednakże obowiązkiem naszym jest starać się przynajmniéj żeby ich uczynić mniéj złymi. Każdy Anglik winien jest przecież coś swemu krajowi.

Graves. Winien jest, zapewne, (rachując na palcach) reumatyzmy, mgły, suchoty, i podatki, (Evelyn chodzi po scenie z niepokojem). Wydajesz mi się wzruszony, czy nieporozumienie z narzeczoną? O jak będziesz żonaty to nie będziesz mógł przeżyć jednego dnia bez sprzeczki.

Evelin. Miły z ciebie pocieszyciel.

Graves. A czy wart jesteś pocieszyciela? Jednego rana mówisz mi że kochasz Klarę, albo też co namniéj że ją nienawidzisz, co na jedno wychodzi. Biedna Marya mówiła mi często że mnie nienawidzi, i tego samego dnia popołudniu oświadczasz się Georgianie.

Evelyn. Klara się łatwo pocieszy, dzięki Sir Fryderykowi.

Graves. Nic dziwnego, jest młodym.

Evelyn. Przystojnym.

Graves. Ale błaznem przy tem wszystkiem.

Evelyn. A jednak nikt mu się nie może oprzéć.

Graves. W każdym razie, Klara dała dowód złego gustu odmawiając mu. Wiem o odmowie od Lady Franklin, któréj on sam się zwierzył ze swéj rozpaczy, poprawiając krawata.

Evelin. Mój drogi, czyż to podobna?

Graves. Cóż ci z tego przyjdzie? Musisz się ożenić z Georgianą, która, według Lady Franklin, jest szczerze przywiązaną... do twego majątku. Idź i powiedz się Evelynie zostałeś wyprowadzony w pole przez nich.

Evelyn. Przez nich, co znowu. Jeżeli jestem oszukany to przez samego siebie. Często się zdarza że w rzeczach rozsądku, arytmetyki i logiki życiowéj, jesteśmy uważni, ostrożni, przezorni, ale niech tylko zadraśnie coś nasze serce, poruszy namiętności, obałamuci nas na chwilę chłodne wyrachowanie światowe, a filozof niedołężniejszym staje się od głupca. Gdybym był pomyślał o tem.

Graves. Niezawodnie, wystawiłeś na próbę Klarę będąc ubogim, rozum nakazywał ci zrobić podobne doświadczenie z Georgianą, będąc bogatym.

Evelyn. Tak, to prawda, wielka prawda. Cóż daléj?

Graves. Będziesz miał nieocenionego teścia, Sir John ze łzami mówi o twoich dochodach.

Evelyn. Sir John, bardzo być może, ale Georgiana.

Graves. Gra z tobą w uczucie do południa, po południu z Sir Fryderykiem.

Evelyn. Panie, nie żartuj: co przez to rozumiesz?

Graves. Że chodząc tutaj, spotykam ją bardzo często spacerującą po skwerze z Sir Fryderykiem.

Evelyn. Czy tak, tak mówisz?

Graves. I cóż z tego? Mężczyzna rodzi się na na to żeby być oszukiwanym. Masz minę nerwową, ręce ci drżą; to od gry w karty. Mówią téż w klubach że grasz grubo.

Evelyn. Ha, ha, mówią już o tem? Kilka tysięcy wygranych lub przegranych nie drogi to narkotyk, który jednak co prawda nie może uśpić pamięci. Ubodzy ludzie piją, bogaci grają w karty. U tych i u tych powody te same. Ale masz słuszność, podła to rozrywka, nie będę grał więcéj.

Graves. Bardzo się z tego cieszę: bo twój przyjaciel Kapitan, zrujnował połowę młodych bogaczów w Londynie. Grać z nim jest to toż samo co robić sobie opinią bankruta. Nawet Sir John jest zaniepokojony. Spotkałem go właśnie przed chwilą; zatrzymał mnie i błagał żebym pomówił z tobą w tym przedmiocie. Ale, ale, byłbym zapomniał, czy masz jakie kapitały u Flash et Comp?

Evelyn. Czy tak? Więc Sir John zaniepokojony? (na str.) Oszukany więc zostałem przez tego słodkiego intryganta, mogę go jeszcze pobić własną jego bronią. (Głośno) Hm! pytasz czy mam co u Flash et Comp? Na co ci ta wiadomość?

Graves Bo właśnie Sir John dowiedział się, że bardzo źle stoją, i kazał cię prosić żebyś wycofał od nich wszystko coś umieścił.

Evelyn. Zobaczę. Sir John więc zaniepokojony moją grą w karty?

Graves. Okropnie! Powiedział mi nawet, że musi dziś wieczorem pójść do klubu żeby cię pilnować.

Evelyn Pilnować mnie? Dobrze, będę tam.

Graves. Ale przyrzekasz nie grać?

Evelyn. Przyrzekam grać. Czuję że mi niepodobna wyrzec się tego.

Graves. Do dyabła, człowieku, bądź jakim chcesz, najgorszym nawet, najnieszczęśliwszym, mniejsza o te, ale kieszeni swojéj pilnuj.

Evelyn. Będę w klubie, będę grał w karty z kapitanem, przegram ile mi się będzie podobało, tysiące, miliony, biliony a jeśli sir John myśli mnie pilnować, niech mnie powieszą jeśli samego Sir John'a nie przegram w stawce. (idąc ku drzwiom i wracając) Jestem tak nieprzytomny. Jaki to bank wymieniłeś? Flash et Comp? Prawdziwe nieszczęście. Już zapóźno dziś wymówić złożony u nich kapitał. Powiedz Sir Johnowi, że nie bardzo jestem wdzięczny za opiekę, i że może znaleźć mnie każdéj nocy do samego świtu w klubie przy pracy z moim przyjacielem Kapitanem.

(Wychodzi).

Graves. Stracił widocznie głowę. Ale nie dziwię się temu. Czem kanikuła jest dla psów, tem dla ludzkiego rodu jest zbliżanie się dnia ślubu.

(Wchodzi służący).

Służący. Lady Franklin przesyła ukłony i prosi żeby pan raczył przyjść do jéj buduaru.

Graves. Do buduaru. Zaraz przyjdę.

(Służący wychodzi).

Serce mi bije, to zapewnie ze zmartwienia. Biedna Marya! (szukając po kieszeniach chustki). Ani jednéj białéj, takie zawsze moje szczęście. Idę na wizytę po to żeby mówić o drogiéj nieboszczce i nie mieć w kieszeni innéj chustki tylko te przeklęte, jaskrawe, czerwone, żółte i niebieskie obrzydliwe fulary, które nawet nieprzyzwoicie jest pokazywać człowiekowi w żałobie, niepocieszonemu wdowcowi. Ach! losy ciągle mnie prześladują. W buduarze, ha, ha, w buduarze.

(Wychodzi).

Scena V.

Buduar Lady Franklin.

Lady Franklin (sama). Mam głębokie wspułczucie dla tego człowieka który się tak koniecznie upiera żeby być nieszczęśliwym, że aż również się uparłam żeby go z losem pogodzić. Jeżeli tylko powiedzie mi się mój zamiar, będzie się śmiał, będzie śpiewał, będzie... otóż i on.

(Wchodzi Graves).

Graves (z westchnieniem). Ach! Lady Franklin.

Lady Franklin (wzdychając równie). Ach! panie Graves! (siadają). Przepraszam żem panu tak długo dała czekać. Prawda że dzień prześliczny?

Graves. Wschodni wiatr mocny. Ale na panią nic źle nie może wpłynąć. Szczęśliwe usposobienie. Biedna Marya! ona także była tak wesołą.

Lady Franklin. Prawda, bardzo była wesołą. Pełną życia i dowcipu.

Graves. Pełną życia i dowcipu? O tak, nikt nie mógł nad nią zapanować. Zawsze chciała robić wszystko według swéj woli. Nie ma na świecie drugiéj do niéj podobnéj.

Lady Franklin. A kiedy się ożywiła, jakże ładnie wyglądała wtenczas. Oczy jéj tak błyszczały.

Graves. Nieprawdaż? A przypominasz sobie pani jéj zwyczaj tupania nóżką; a taką małą miała nóżkę. Zdaje mi się że ją mam przed oczami teraz. Jakże ta rozmowa uspakaja moją boleść.

Lady Franklin. A jak dobrze grała w amatorskich teatrach.

Graves. Pamiętasz pani jak grała w „Zazdrosnéj żonie?“ Jakże to zabawne było, ha, ha, ha.

Lady Franklin. Prawda, w pierwszéj scenie kiedy wchodziła mówiąc: (deklamuje) „Twoje okrucieństwa i niegodziwości śmierć mi sprowadzą!“

Graves. Nie, nie, nie tak, więcéj ognia trzeba (deklamuje). „Twoje okrucieństwa i niegodziwości

śmierć mi sprowadzą!“ ha, ha, powinienem dobrze pamiętać w jaki sposób to mówiła, bo miała zwyczaj powtarzać mi to dwa razy dziennie. Ach! biedny drogi baranek (ociera oczy).

Lady Franklin. A jak ładnie śpiewała i komponowała nawet. Jaka to jest ta francuzka piosneczka którą tak lubiła?

Graves. To taka wesoła! Pozwól mi pani przypomnieć ją sobie.

Lady Franklin (nuci). Nie, to nie tak.

Graves (nuci). Tum li ti tum ti ti tum tum tum.

Razem oboje. Tum ti ti tum ti ti tum tum tum, ha, ha, ha.

Graves (przechylając się w tył na krześle). Ach! jakież wspomnienie ta piosneczka budzi. To zbyt mnie wzrusza.

Lady Franklin. Rzeczywiście jest bardzo wzruszające; ale przecież wszyscyśmy śmiertelni (wzdycha). A wtedy na Boże Narodzenie, pamiętasz ją pan jak tańczyła szkockiego tańca z kapitanem czy też majorem...

Graves. Ha, ha, ha, pamiętam, pamiętam.

Lady Franklin. Pamiętasz taniec? Wszakże to tak idzie, nieprawdaż.

(Tańczy).

Graves. Nie, nie tak, zupełnie inaczéj, stań pani tam, zaczynajmy teraz, (nucąc melodyą) la la la la, (tańczą). Ot, tak, doskonale, ślicznie.

Lady Franklin (na str.). No, dobrze teraz idzie.

Wchodzi Sir John, Blount, Georgiana, zatrzymują się zadziwieni. Lady Franklin tańcuje.

Graves. Doskonale, zachwycająco. Zdaje mi się że Maryą widzę przed sobą, tak, tak, pozwól mi pani uścisnąć (na str.) do wszystkich dyabłów, takie zawsze moje szczęście (spostrzegając Sir Johna).

(Lady Franklin ucieka z pokoju).

Sir John. Na moje słowo, panie Graves.

Georgiana, Blount (razem). Encore, encore, brawo, brawo!

Graves. To wszystko pomyłka. Ja... ja... Sir Johnie. Lady Franklin, widzisz pani... to jest chciałem powiedzieć... święta moja Maryo, przynajmniéj tego zmartwienia ci oszczędzono.

Georgiana. Prosimy panie Graves, dalej, dalej.

Blount. Nie chcemy przerywać.

Graves. Przerywać. Muszę przyznać że tak grubiańskie wejście, niedelikatność, wglądanie w zmartwienie biednego osieroconego człowieka, który szuka pociechy u współczującéj przyjaciółki, ale taka to już ludzka natura.

Georgiana (idąc za nim). Ależ panie Graves.

Graves. Bez serca.

Blount (idąc za nim). Mój drogi panie Graves.

Graves. Trzpiot.

Sir John (idąc za nim). Zostań i zjedz z nami obiad.

Graves. Bez czucia.

Wszyscy. Ha, ha, ha, ha.

Graves Potwory, zostawcie mnie w spokoju.

(Wychodzi, za nim Sir John, Blount, Georgiana).

Scena VI.

Wnętrze klubowéj sali; noc, światła pozapalane. Małe stoliczki z książkami, papierami, herbatą, kawą i t. d. Kilku członków koło kominka; jeden z członków z nogami opartemi na poręczy krzesła; drugi z nogami założonemi na stoliczek, trzeci z nogami na kominku. Na lewo, na przodzie sceny, jeden z członków czyta gazety, siedząc przy małym okrągłym stoliku; na prawo stolik do kart, przed nim siedzi Kapitan i pije limonadę, w głębi sceny drugi stolik do kart.

Glossmore, Stout.

Glossmore. Nie często bywasz w klubie Stout?

Stout. Nie, czas to pieniądze. Godzina przepędzona w klubie to stracony kapitał.

Glossmore. I tak Evelyn rzucił się w grę? Widzę kapitana jak w chłodnym spokoju, czai się cicho na swą nową zdobycz? Ciężka praca czeka go dziś w nocy, bo pije limonadę; chce mieć trzeźwą głowę, szczwany lis nie ma co mówić.

(Wchodzi Evelyn kłania się i podaje rękę wielu członkom przechodząc przez scenę).

Evelyn. Jak się masz Glossmore? Jak się masz Stout? Ekonomia polityczna nie grywa nigdy w karty, prawda? Nie ma czasu na rzeczy tak płoche. Kapitan, to człowiek. Winieneś mi rewanż, zagrajmy więc partyą pikiety.

(Członkowie spoglądają znacząco na siebie; Stout odchodzi na bok).

Kapitan. Mój drogi Alfredzie, wszystko co zechcesz na twoje usługi.

(Siadając do kart).

(Wchodzi Blount).

Blount. No, no, Evelyn znowu przy kartach.

Glossmore. A tak, kapitan przyczepił się do niego jak pijawka. Zręczny chłopiec.

Blount. Zrobisz ze mną robra?

Glossmore. A czy znalazłeś dwóch innych do partyi?

Blount. Mam, Flat i Greem.

Glossmore. Źli gracze.

Blount. Mam zwyczaj zawsze grywać że złymi graczami i daje mi to przewyżkę dziewięćdziesiąt przeciw jednemu.

Glossmore. Zręczny chłopiec, ten Blount.

(Blount, Glossmore, Flat i Greem, siadają przy stoliku w głębi sceny).

Kapitan. Przepraszam cię stokrotnie Alfredzie, dziewięćdziesiąt pików, dziesięć kart, gram.

Evelyn (podając mu karteczkę). Dobrze, ale nim zaczniemy, jedno pytanie. Dziś mamy środę; ile myślisz wygrać odemnie do przyszłego wtorku?

Kapitan. Cher Alfred, jakiś zabawny.

Evelyn (pisząc coś w pugilaresie). Czterdzieści partyi co wieczór, cztery wieczory wyłączając niedzielę, zwyczajna nasza stawka... myślę że tak będzie dobrze?

Kapitan (patrząc na notatkę). Zupełnie, jeślibym miał wygrać wszystkie partye, co jest prawie niepodobieństwem.

Evelyn. Możesz wygrać dwa razy tyle pod jednym warunkiem. Umiesz dotrzymać tajemnicy?

Kapitan. Mój kochany Alfredzie; dotrzymałem jéj przecież sobie. Nie odziedziczyłem nigdy po nikim ani szeląga, nie wydaję nigdy mniéj jak 4,000 ft. rocznie, a nie powiedziałem nigdy żadnéj żywéj duszy jakim sposobem doszedłem do tego.

Evelyn. Więc kiedy tak, baczność, mam ci coś powiedzieć.

(Szepczą ze sobą).

(Wchodzi Sir John).

Evelyn. Zrozumiałeś mnie?

Kapitan. Doskonale; zrobię wszystko co zechcesz.

Evelyn (wyciągając kartę). Ty rozdajesz.

Sir John. Otóż jest mój najdroższy zięć, przegrywający moje pieniądze i robiący z siebie głupca.

Blount. Już skończyłem (zbliża się na przód sceny rachując pieniądze). Sir John nie grasz?

Sir John. Ja miałbym grać? Nigdy. Niech go dyabli porwą! znów przegrał.

Evelyn. Ah! z temi kartami. Podwajam stawkę.

Kapitan. Rób jak chcesz, przyjmuję.

Sir John (z przerażeniem). Przyjmuje.

Blount. Wygrałem ośm punktów i zakłady, nigdy nie przegrywam i nie grywam nigdy przy jednym stoliku z kapitanem.

Sir John (patrząc przez ramię kapitana z niepokojem). Niech się Bóg zlituje nad nami! kapitan ma siedm punktów. Jaka stawka?

Evelyn. Nie przeszkadzaj nam pan, zrzucam tylko cztery. Stawka, Sir John? Ogromna. Czy widział kto kiedy podobne szczęście, ani jednéj lewy nie wezmę. Nie trzymaj pan za mną Sir John, jestem rozdrażniony.

Blount. Sto funtów trzymam Evelyn?

Sir John. Niedorzeczność! Nie przeszkadzaj mu. Wszystkie ryby przychodzą do wędki. Rekiny, płotki, wszystko krąży koło mojego zięcia.

Evelyn. Sto funtów Blount? Najlepiéj wychowany gentelman, gotów jest zawsze wziąć gwineę jak się sposobność zdarzy. Dobrze. Potrajam stawkę.

Sir John. Jestem na torturach. (do Evelyna) Trochę zimnéj krwi Evelynie. Uważaj mój drogi, zimna krew, zimna krew przedewszystkiem.

Evelyn. Co, co? Masz cztery damy. Do licha z temi kartami. Proszę o świeżą talią (rzuca karty przed siebie, na Sir Johna).

(Kilku członków otacza stolik).

Pierwszy z członków. Nigdy dotąd nie widziałem Evelyna rozdrażnionego. Musi grubo przegrywać.

Drugi z członków. Tak, to ciekawy widok.

Sir John. Ciekawy widok! to nieszczęście prawdziwe.

Pierwszy z członków. Biedny chłopiec, zrujnuje się w miesiąc.

Sir John. Jestem cały zlany zimnym potem.

Drugi członek. Kapitan to dyabeł wcielony.

Sir John. On sobie z samego dyabła żartuje.

Glossmore (uderzając po ramieniu Sir Johna). Zręczny chłopiec, prawda Sir Johnie? Sto funtów stawiam na tę partyą, Evelyn przyjmujesz?

Evelyn (na pół obracając się ku niemu). Ty? A co tam konstytucya? Dobrze, przyjmuję.

Stout. I ja zaryzykuję, dwieście funtów na tę partyą Evelyn?

Evelin (zwracając się zupełnie ku niemu). Ha, ha, ha. Postęp i konstytucya po jednéj stronie nakoniec. O Stout, Stout, największe szczęście w największéj liczbie, największa liczba, jeden. Przyjmuję Stout! Rozdawaj karty kapitanie. Dobrze, dobrze. Ekonomia polityczna górą, ha, ha, ha!

Sir John. Nerwowe roztrojenie, czy się nie wstydzicie siebie samych? Właśni jego krewni, wszyscy w zmowie, to czysty napad.

(Członkowie dają znaki oburzenia).

Stout (do członków). Cicho! Evelyn żeni się z córką Sir Johna.

Chór członków. O! o!

Evelyn (wstaje bardzo wzruszony). Dosyć, dosyć, skończyłem, dosyć już tego. Glossmore, Stout, Blount, zapłacę wam jutro. Do dyabła ale to rujnujące.

Sir John. Rujnujące? I ja tak myślę. Ile on przegrał, ile on przegrał, Kapitanie? Nie wiele? Co? Ile?

Kapitan. Bagatelę, mój kochany Jasiu. Daruj mi ale nie wymieniam nigdy cyfry wygranéj. (do Glossmore'a) Ale, ale, Karolu, czybyś nie chciał czasem sprzedać nowego domu na Grosvener Skwer Dwanaście tysięcy funtów? Co?

Glossmore. Dobrze, a umeblowanie zostawia się do ocenienia. Mniéj więcéj około 3,000 ft.

Kapitan (patrząc w pugilaresie). Hm! dobrze, dobrze, pomówimy o tem.

Sir John. Dwanaście a trzy to 15,000 ft. To łotr z zimną krwią dopiero. (do kapitana) Więc 15,000 ft. kapitanie?

Kapitan. O! dom sam to bagatela, ale urządzenie trudniejsze. Właśnie myślę czy będę miał dosyć na to, mój Jasiu.

Evelyn (wstając i śmiejąc się nerwowo). Ha, ha, czy będziesz miał dosyć. Tutaj taka wrzawa. Sir Johnie, zawsze mi stajesz na drodze. Chodź do mnie Kapitanie chodź. Popijemy szampanem. Kto nic nie ryzykuje nic nie ma. Szczęście musi się odwrócić na Jowisza, będę probować całą noc.

Sir John. Całą noc. Na miłość Boską, Evelyn! Alfredzie! pomyśl tylko co robisz, wspomnij o swojéj biednéj, zmarłéj matce, pomyśl o swoich przyszłych dzieciach, pomyśl o...

Evelyn. Nie chcę myśléć o niczem. Do miljona szatanów! Nie wiesz com przegrał, a wszystko to twoja wina, boś mi przeszkadzał. Ha, ha, rób co chcesz teraz. Chodź kapitanie, całą noc mamy przed sobą, całą noc.

(wychodzą).

Sir John (idąc za nimi). Nie powinieneś grać, nie będziesz grać! Evelyn! Mój drogi chłopcze! Ale on pijany i szalony! Czyż nikt nie pośle po policyą?

Członkowie klubu. Ha, ha, ha! Biedny stary skąpy Jack.

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

Z Literatury Europejskiéj Nowożytnéj.

Poezya Celtycka.

Literatura tak grecka jakotéż rzymska, w najdawniejszych swych utworach, ukazują się w całym blasku rzeczywistéj wielkości. Podobne zdanie można wyrzec i o literaturze hebrajskiéj. Iliada rozpoczyna szereg arcydzieł greckich podziwianych do dziś dnia, a księgi Genezy są niewyczerpanem źródłem mądrości, z którego czerpały i czerpać będą najznakomitsze umysły, szukające wskazówek dla wytknięcia drogi wiodącéj do prawdy. Również literatura rzymska, mimo niewolniczego naśladowania utworów greckich, zaraz w początkowym swym rozwoju ukazuje nam dwóch poetów w osobach Terencyusza i Plauta, którzy w zawodach przez siebie obranych, nietylko nigdy nie byli przewyższeni, ale nie znaleźli nawet godnych siebie współzawodników. Sądząc więc literaturę starożytną wedle pozostałych zabytków twórczości myśli człowieka, możnaby ją porównać do słońca ukazującego się nagle na widnokręgu bez jutrzenki i zmierzchu; zupełna ciemność w jednéj chwili zastąpioną została, przez światło zdumiewającego blasku. Prawdopodobnie natchnienie w tych warunkach, dało początek księgom świętym. Geniusz człowieka ukazuje się tam w większéj niż gdziekolwiekbądź indziéj potędze, mąż układający takowe, zostawał pod wpływem wyjątkowego natchnienia, czerpiącego źródło w téj sile życiodajnéj, która jednem słowem zdołała wytworzyć światło.

W zwykłych jednak warunkach życia narodów, objawy myśli ludzkiéj przedstawiają się odmiennie, rozwój umysłu do pewnego stopnia można porównać do wzrostu fizycznego: aby zostać człowiekiem dorosłym, potrzeba przebyć trudne czasy dziecińStwa, i pracowitą epokę młodzieńczego wieku. Niemowlę zniewolonem jest długo czołgać się po ziemi, zanim stanie o własnéj sile i spojrzy śmiało w niebo; długi czas wymawia pojedyncze wyrazy bez związku, kalecząc jeszcze właściwą harmonią złączonych liter, zanim nauczy się mówić jasno i poprawnie. Zwolna rozwijają się zarodki rozmaitych zdolności, które Bóg złożył w naszéj duszy. Otaczające nas ciemności rozpraszają się pomału a promienie słoneczne dopiero po walce ze zmierzchem i przedłużonéj jutrzence, zdolne są oświetlić krajobraz.

Prawidła rozwoju umysłu człowieka od dzieciństwa aż do zupełnéj dojrzałości, można dostrzedz i w życiu ludów, badając postęp przez nich dokonany, tak w sztukach jakoteż i w literaturze. W Grecyi na długi czas przed Homerem, poezya była uprawianą przez Orfeusza, Linusza i innych, w Rzymie również pracowano na tem polu przed Plautem, chciano bowiem aby sława literacka rzeczypospolitéj stanęła na równi z jéj sławą wojenną. Żaden jednak z pierwotnych utworów literackich, tak w Grecyi jak w Rzymie, nie doszedł do wiadomości późniejszych pokoleń; prawdopodobnie miernota była powodem ich zniknięcia, uważano je za niegodne do przechowania. Okoliczność ta jest bardzo niedogodną, pozbawieni bowiem zostaliśmy możności zbadania prawideł, wedle jakich tworzyły się dwa języki uważane dzisiaj za powszechne, a tem samem nie znamy rozwoju stopniowego dwóch literatur, które jak dwie gwiazdy pierwszorzędnéj wielkości, kolejno obdarzały nas swojem światłem.

W téj mierze mamy bezporównania więcéj danych skoro badamy literatury ludów nowożytnych. Dostrzegamy ich narodziny, stopniowy wzrost, uzyskany najwyższy stopień chwały, aż do chwili, w któréj rozpoczyna się upadek, wiodący może do śmierci, będącéj zwykłym końcem wszystkiego co żyje. Przypuszczenie zupełnie prawdopodobne. Językiem greckim i łacińskim mówiło wiele ludów przez wiele wieków po sobie następujących, a dzisiaj przechowane są jedynie w księgach, niewiadomym jest nawet sposób ich wymawiania, ponieważ język nowożytny grecki niepodobnym jest wcale do języka Homera, tak jak język włoski do języka Wirgiliusza. Ta właśnie okoliczność nadała językom starożytnym przymiot powszechności, nie należąc bowiem do żadnego ludu wziętego pojedynczo, tem samem należą do wszystkich. Uwielbienie dla arcydzieł wytworzonych w tych dwóch językach, uchroniło je od zapomnienia, a jednocześnie poszanowanie dla nieporównanych pomników myśli ludzkiéj, dozwoliło je przechować w nieskażonéj czystości. Jako języki zmarłe nie ulegają dalszemu rozwojowi, zachowują konieczną nieruchomość, nie utraciły jednak swéj przewagi, wywierając ważny wpływ na tworzenie się języków tegoczesnych, wsiąkając jednak niejako w pierwotną mowę mieszkańców różnych okolic kuli ziemskiéj, zdołały zatrzéć piętna jéj właściwe, a tem samem badanie jéj początku uczynić dla filologów niepodobnem. Skoro w obydwóch rzeczach łączą się z sobą, to własności ich ulegają zmianie koniecznéj, podobnież skoro z dwóch języków ma być wytworzonym jeden, silniejszy pochłania mniéj rozwinięty, ten jednak ostatni zniewala swego zwycięzcę do tylu zmian, że spowodowywa zupełne jego przekształcenie. Niezadługo wypadek tego rodzaju napotkany w rozwoju literatury tegoczesnéj, da nam sposobność sprawdzenia praktycznego powyż wzmiankowanéj teoryi.

Dzisiaj już jest uznanem za pewnik, że wschód był kolebką cywilizacyi; księgi Genezy nauczają nas tego, gdyby jednak świadectwo Mojżesza nie było wystarczającem, w takim jeszcze razie historya starożytna i nowoczesne odkrycia naukowe, zdolne są zniweczyć wątpliwość w umysłach największych nawet niedowiarków.

Wzrastająca coraz bardziéj ludność w okolicach niezdolnych zaspokoić jéj potrzeb, przytem ulegając na miejscu zbytniemu despotyzmowi, w zamiarze zmienienia tylu przykrych warunków, zaczęła posuwać się ku północy, ponieważ podróż na południe była niepodobną, z powodu morza stawiającego nieprzezwyciężoną przeszkodę. Ludy rozpoczynające wędrówki zostawały w stanie wielkiego poniżenia, z powodu nędzy i niewoli; nie posiadały ani religii ani języka wyrobionego, a tem samem przy odmiennym sposobie życia i różnych warunkach klimatu, dwa główne objawy charakteru narodowego musiały uledz wielkiéj zmianie. Nie można zatem dziwić się, jeżeli napotykamy wielkie podobieństwo między językami mówionemi na północy jak języki: celtycki, teutoński lub litewski, a niektóremi językami używanemi na wschodzie.

Ludy przybyłe szukały schronienia we wszystkich bez wyjątku okolicach północnych, aż do brzegów niepodobnego do przebycia oceanu. Prawdopodobnie jednak niektóre śmielsze plemiona drogami nieznanemi dzisiaj, przez biegun północny, przebyły niewielką przestrzeń oddzielającą dwie półkole, i tym sposobem stały ląd amerykański pozyskał swych pierwotnych mieszkańców. Nie zatrzymując się jednak nad rozbiorem przypuszczeń mniéj lub więcéj prawdopodobnych, zbliżmy się do czasów mniéj oddalonych, gdzie możemy rzucić okiem z większą pewnością, i napotkać dowody niewątpliwe pracy umysłu ludzkiego.

Nazwisko Gallów już oddawna zapisanem było mieczem Brennusa na murach Kapitolu, zanim Juliusz Cezar zamierzył zdobyć Galią. Dzieło to dokonanem zostało w przeciągu dziesięciu lat uporczywéj walki, dowodzącéj zarówno waleczności zwyciężonych, jakotéż niepospolitego geniuszu zwycięzcy.

Jaka mogła być literatura tego ludu wojowniczego? Oto co w téj mierze mówi Juliusz Cezar w swoich komentarzach:

„W Galii dwie tylko klasy ludzi mają znaczenie i doznają poszanowania; ogół ludności żyjąc w stanie niewolnictwa, nie przyjętym jest do żadnych narad, a tem samem nie wywiera najmniejszego wpływu na sprawy publiczne. Ludność należąca do warstw niższych jęcząc pod ciężarem długów, podatków i prześladowania możnych, sama zaprzedawała się w niewolę, znajdując w tym stanie więcéj bezpieczeństwa. Z dwóch klas uprzywilejowanych, jedna złożoną jest z druidów a druga z rycerstwa. Druidzi (w dosłownem znaczeniu po celtycku ludzie z dębów) nie idą wcale na wojnę, nie płacą podatków, jednem słowem zwolnieni są od wszelkiego rodzaju ciężarów. Tak wielkie przywileje zachęcają innych Galów wejść do ich grona, już to z pobudek dobrowolnych już też pod wpływem rad udzielanych przez rodziców lub najbliższych krewnych.

Skoro starania ich w téj mierze uwieńczone są powodzeniem, zajmują się bezzwłocznie nauką niezliczonéj liczby wierszy, poświęcając nieraz w tym celu dwadzieścia lat życia. Wiersze te pod żadnym pozorem nie mogą być przepisywane, chociaż pisać

umieją, używając w sprawach prywatnych lub publicznych liter greckich. Wedle mego zdania dwie są przyczyny dla których wzbronionem jest przepisywanie poezyi, raz aby nie pozbawiać jéj właściwego uroku, skoro dostępną będzie dla wszystkich, powtóre aby uchronić uczniów od szkodliwych następstw zaniedbanéj pamięci, gdyby skarby nauki znajdujące się na piśmie były im zawsze przystępne. Główną podstawą religii Gallów jest wiara w nieśmiertelność duszy i ustawiczną jéj wędrówkę z jednych ciał do drugich, co ostatecznie wywiera wpływ przeważny na waleczność żołnierza niweczący wszelką obawę śmierci. Ruch gwiazd, ogrom wszechświata, wielkość ziemi, istota rzeczy, siła i potęga bogów nieśmiertelnych, dostarczają zazwyczaj przedmiotu do rozpraw i wykładane są dorastającem pokoleniom."

Przywiedziony ustęp z komentarzy Juliusza Cezara, poucza nas o niektórych szczegółach nader ciekawych. Oto Galia posiadała język i poezyą narodową na wiele lat przedtem zanim podbitą była przez Rzymian: na nieszczęście ani jeden utwór poetyczny piśmienny z tych czasów, nie doszedł do naszéj wiadomości. Co do starego języka celtyckiego, to można go jeszcze napotkać w prowincyi francuzkiéj zwanéj Niższą Bretanią, położoną na północno-zachodnim cyplu Francyi nad brzegami oceanu Atlantyckiego, a nadto w tak nazwanem księztwie Galii w Anglii, gdzie ludność obroniwszy się od napływu obcych przybyszów, zdołała uratować język pierwotny od zatraty i gdzie jeszcze napotkać można rozmaite pomniki kamienne, należące do zewnętrznych objawów religii druidyckiéj. Religia ta mająca wiele podobieństwa z niektóremi wyznaniami wschodniemi, zaprowadzoną była jednocześnie z użyciem liter greckich, co stało się mniéj więcéj w epoce w któréj koloniści greccy założyli Marsylią. Wpływ zewnętrzny na wyobrażenia religijne jest tem więcéj prawdopodobnym, że plemiona germańskie znajdujące się z drugiéj strony Renu, nie znały nawet z nazwiska bożków pogańskich, oddawały cześć ciałom niebieskim a przez podobieństwo płonącym stosom ognia, odpychając starannie wszelkie wyroby cywilizacyjne, jako mogące oddziałać szkodliwie na dziką ich odwagę i siłę charakteru.

Pozbawieni zatem jesteśmy możności poznania dawnych zabytków poetycznych, które kiedyś w pierwotnéj Galii miały tak wielkie znaczenie. Liczne jednak świadectwa zawarte w dziełach współczesnych pisarzy łacińskich, dotyczące poezyi celtyckiéj, pozwalają wnosić o jéj znaczeniu, jakotéż o sile twórczéj starożytnych bardów, śpiewających na cześć bogów i bohaterów narodowych, pod wpływem poruszonéj imaginacyi przez miłość ojczyzny i sławy. Wielka szkoda że Druidzi naśladując przykład dany przez Likurga i Sokratesa, ustnie tylko podawali do wiadomości wybranych, prawa i rozmaite tajemnice naukowe, nie chcąc ująć pismem dwudziestu tysięcy wierszy, zawierających wedle określenia Diodora z Sycylii, różne prawidła ciekawe i pożyteczne. Kapłani galscy byli jeszcze więcéj zazdrośni o zdobyte wiadomości aniżeli kapłani egipscy, kiedy bowiem drudzy znane im nauki ujmowali pismem hieroglificznem, pierwsi nie chcieli zostawić najmniejszego znaku widomego, choćby w formie najbardziéj tajemniczéj.

W tem miejscu należy wytłomaczyć jedną okoliczność dosyć zadziwiającą. W epoce Homera pamięć ludzka była dosyć silną, aby przechować bez uszczerbku przez trzy wieki niezrównane pieśni barda jońskiego, a tymczasem w Galii okazała się nadzwyczajnie słabą, nie przenosząc najdrobniejszych nawet urywków do wiadomości późniejszych pokoleń. Wedle powyż przytoczonéj teoryi, wypadałoby wnioskować o niewielkiéj ich wartości, co jednakże niezgodnem byłoby ze zdaniami objawionemi w téj mierze, przez najznakomitszych pisarzy starożytnych.

Przyczyn zupełnego zapomnienia wypada szukać gdzie indziéj.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

J. I. Kraszewski. Powieści historyczne. VIII Stach z Konar, powieść historyczna z czasów Kazimierza Sprawiedliwego. Kraków 1879. 4 tomy.

Jan Długosz, kanonik krakowski i ojciec dziejopisarstwa w Polsce we właściwem znaczeniu tego wyrazu, chociaż po łacinie piszący, opowiada w swéj historyi pod rokiem 1177 o wygnaniu ze stolicy krakowskiéj księcia Mieczysława III Starego za jego srogość i nadużycia, i o powołaniu na tron Kazimierza, najmłodszego z synów Bolesława Krzywoustego. Historyk wkłada w usta biskupa Krakowskiego Gedeona (zwanego też w skróceniu Gedko) długą mowę, chwalącą Kazimierza w obec zebranych panów i ziemian małopolskich: w mowie téj znajduje się opowieść następująca.

„Aby zaś lepiéj okazać jego (Kazimierza) dobroć, jedno tylko ku jéj świadectwu przytoczę tu zdarzenie. Raz w nocnéj porze Kazimierz książę, o którym mowa, zgrał się był w kostki z Janem z Konar, rycerzem i dworzaninem swoim; a gdy gra przeciągnęła się do północy i raz książę, drugi raz ów rycerz wygrywał, dla rychlejszego udania się na spoczynek ułożyli obydwaj, aby stanowczo jedną grą spróbować szczęścia, przy kim miało zostać zwycięztwo. Do téj gry obaj wielce się zapalili, szło bowiem o duży zakład, znaczną ilość srebra wynoszący, aż nareszcie książę Kazimierz wygrał i Janowi dworzaninowi zabrał owo srebro. Jan rozżalony, że za jedną stawką stracił niemal cały swój majątek, gdy i winem nieco był zagrzany, w tak gwałtowne wpadł uniesienie, że zamierzywszy się z całéj siły, dał książęciu policzek i wnet pod zasłoną nocy wymknął się z rąk obecnych. Ale nazajutrz wyśledzono go i zaprowadzono do sądu, gdzie mniemali wszyscy, iż jako winny obrazy majestatu, na śmierć będzie skazany. Książę Kazimierz atoli pospieszył ku jego obronie i cofnąć kazał wyrok, mówiąc: nie dopuszczę nigdy, sędziowie, aby za obelgę danego mi policzka, rycerz ten, który w sprawach publicznych nieraz zawołaną mi był pomocą, miał zginąć, gdy winę jego i pora sama i rodzaj gry usprawiedliwia. Jeżeli zważymy wielkość straty, jaką za przeciwnem sobie szczęściem poniósł, zasłużył on raczéj na przebaczenie niżeli na karę. Przegrawszy bowiem zakład, na który był stawił wszystko swoje mienie, uniósł się gwałtownym gniewem nie przeciw mnie, ale przeciw nieprzyjaznemu sobie losowi; nie mogąc atoli mścić się na nim, wywarł swój gniew na mnie, który byłem dzieckiem szczęścia. Wszakże i ja powinienem był pamiętać na swój stan i godność i wstrzymać się od tego rodzaju zabawy, w któréj powaga majestatu niewcześnie się naraża; wiedziałem bowiem że przy grze wydarzają się różne zdrożności, zatargi i obelgi. Większéj zatem ja podlegam naganie, że niepomny na moją godność książęcą wdałem się w grę nieprzystojną, w któréj Jan, nie umiejący powstrzymać gniewnego szału, zwłaszcza iż był podpiły, zemścił się jak mógł za utraconą stawkę. Nietylko więc Jana ogłaszam wolnym od winy, ale nadto wdzięcznym mu się wyznaję, że mi zadał ten raz obelżywy, który mię nauczy chronić się odtąd gry podobnéj i wszelkiéj nieprzystojnéj zabawy." Jakoż i przebaczył winowajcy i wszystko srebro, które był od niego wygrał, natychmiast mu powrócił, ba owszem swego jeszcze na znak wdzięczności przyłożył. A tak zarazem winę największéj zniewagi onemu człowiekowi przepuścił, wyrok potępiający go odwołał, stratę w całości mu powrócił i krzywdę własną jakby dowód przychylności ku sobie, wynagrodził. (Dzieje Długosza wydane staraniem A. Przezdzieckiego, w przekładzie Mecherzyńskiego. Kraków 1868—1873).

Ze skąpéj téj wzmianki historyka, w któréj niewielki materyał faktyczny został rozprowadzony i okraszony krasomówczą retoryką, skorzystał Kraszewski, ażeby na tym kamieniu węgielnym wznieść obraz całego niemal panowania Kazimierza Sprawiedliwego.

Powieść rozpoczyna się powrotem do kraju Stacha z Konar, który ujęty łaskawością księcia ku sobie, poświęcił odtąd całe życie na jego usługi, broniąc go i strzegąc zdaleka i niewidzialnie, z zupełnem zaparciem się i niewzruszoną wiernością, bezinteresownie, gdyż zgodnie z wolą Kazimierza nie śmiał mu dać się poznać ani zbyt blizko nasunąć na oczy. Stach zawitał najpierwéj do domu starego Scibora ze Sciborzyc, zniedołężniałego już wojewody niegdyś Krzywoustego, którego w domu, a częstokroć na łowach i w męzkich ćwiczeniach zastępuje jedynaczka córka—Jagna Sciborzanka. Odbywa ona długie i tajemnicze wycieczki, nie kryje się z przywiązaniem do księcia Kazimierza, wówczas jeszcze pana na Sandomierzu, a pełna oburzenia przeciwko zuchwałemu krzywdzicielowi księcia, uczuwa nagle ku niemu życzliwość, podsłuchawszy jego spowiedź przed starym Sciborem. Bez trudności już czytelnik domyśli się w Jagnie kochanki Kazimierza i zarazem jakiegoś lekkiego zawiązku uwielbienia Stacha ku niéj i późniejszego stosunku obojga: jednem słowem tu już, w pierwszym rozdziale, mamy zawięź całego żywiołu romantycznego, który choć może nie we wszystkich szczegółach ściśle historyczny, stanowi jedyne pole dla swobodnéj twórczości autora.

Daléj już mamy niemal czystą historyą. Maluje nam autor sceny nadużyć i gwałtów, których dopuszczał się Kietlicz, faworyt panującego wówczas na Krakowie księcia Mieczysława, zwanego Starym. Chwytano ludzi po drodze, wleczono do sądu książęcego i skazywano na grzywny za nieprędkie dostarczenie podwód wysłańcom książęcym; innych brano za to, że nie umieli prędko wygadać się co zacz byli; innych np. za to że zabijali niedźwiedzie, które im barcie psuły; gdyż książę widział w tem akt samowoli, a więc obrazę władzy książęcéj. Scena takich sądów krzyczących przedstawioną jest daléj szczegółowo i wiernie, niemal dosłownie z kronik Kadłubka i Długosza. Poznajemy tu wyborne postacie sędziego Mierzwy, zdolnego przechery i krętacza i skarbnika Juchima, pobierającego wymuszone gwałtem grzywny.

Następnie ukazuje nam autor dwór na Panieńskiéj Skale, gdzie bawi się i niepowściągnionéj swobody zażywa piękna wdowa Dorota z Tęczyna. Ona także ukradkiem miłuje Kazimierza, książę aż do śmierci miał do kobiet szczęście i sam był ich wielkim wielbicielem, a trzymając w swych więzach wojewodę Szczepana, bierze niemały udział w knowaniach Krakowian, oburzonych rządami Mieczysława i pragnących powołać na stolicę młodszego jego brata Kazimierza. Właściwe nawet powołanie swoje winien był Kazimierz Stachowi, Jagnie i Dorocie.

Pokazuje nam daléj autor wspaniałą postać Gedki, biskupa krakowskiego, godnego następcy św. Stanisława, który bierze czynny udział w skargach kraju, gromi srogiego księcia i namawia ubogą niewiastę do wytoczenia w sądzie książęcym owéj alegorycznéj sprawy przeciwko niedbałemu pasierbowi i pasterzom, wziętéj z Kadłubka, która oznacza złe rządy Mieczysława i jego służalców.

Prowadzi nas potem autor na zamek sandomierski, stolicę Kazimierza i ukazuje żywot, jaki ten książę pędził, oddany już to rozrywkom już to budującym i pobożnym rozmowom z duchownymi, między którymi był także młody Wincenty Kadłubek, późniejszy biskup krakowski i kronikarz Kazimierza. W przytoczeniu tych rozmów widać szczególniéj skrzętną pracowitość Kraszewskiego, który zużytkował tu nietylko Kadłubka, ale i wiele innych średniowiecznych legend i opowieści o obyczajach krajów dalekich, o cudach świętych i o widzeniach. Są tu także próbki dociekań filozoficznych, na religii, według ducha owéj epoki opartych, są mgliste wspomnienia historyczne o świecie klasycznym, jednem słowem wybornie zestawione próbki wiedzy i literatury średniowiecznéj, któremi bawiły się umysły wyższe, rwąc się do światła i wykształcenia w owéj epoce w ogólności dość ciemnej. Poznajemy także wznoszone podówczas przez Kazimierza opactwo cystersów w Sulejowie, dokąd chronić się lubił książę na modlitwę i rozmowy pobożne. Daléj opowiada autor zabiegi Krakowian, poparte przez trzy wymienione powyżéj osobistości, w celu posadzenia Kazimierza na stolcu krakowskim i opór tegoż; wyborną jest (przy końcu tomu II) scena przypadkowego spotkania się Kazimierza z Mieczysławem.

Następnie roztacza się przed nami szczegółowy i ściśle wierny historycznie obraz powołania Kazimierza na tron krakowski, ucieczka Mieczysława, stosunki Kazimierza z pokrewnemi książęty; dalej maluje autor słynny w dziejach zjazd łęczycki i przytacza powzięte tam w obronie ludzi ubogich uchwały. W dalszym ciągu prowadzi nas autor z Kazimierzem na Ruś, a tymczasem, opisuje chybiony napad Mieczysława i jego stronników na Kraków. Sprawy publiczne i ważniejszego znaczenia przeplata autor obrazami uciech książąt i możnych, a głównie stosunkami Kazimierza do dwóch wymienionych powyżej niewiast, Doroty i Jagny: pierwsza zdołała wreszcie, choć na czas krótki, usidlić księcia przy pomocy jego ulubieńca Wichfryda; prędko jednak powrócił do Jagny, która z tytułu uchodziła za żonę Stacha z Konar. Tak ten ostatni przyjął wreszcie rolę niezbyt zaszczytną, ale w owych czasach uchodziło wiele. Wreszcie, jako epilog, mamy opowieść o nagłym zgonie Kazimierza. Korzystając z głuchych wzmianek kronikarzy o otruciu, autor przypisał śmierć Kazimierza stronnikom Mieczysława, którzy trucizny dostarczyli. Dorocie z Tęczyna, która użyła téj trucizny jako napoju miłosnego, ażeby pozyskać serce księcia, i Wichfrydowi, który, przez Dorotę namówiony, nalał trucizny do wina Kazimierzowi i stał się mimowolnie jego zabójcą. Zgodnie z opowiadaniem Kadłubka, Kazimierz pada martwy po wychyleniu zabójczego puharu w czasie uczty, okraszonéj rozmowami o życiu przyszłem. W ostatnich swych słowach wyraził był właśnie swe pragnienie oswobodzenia się z więzów ciała następującym ustępem ze św. Augustyna: „Serce moje spragnione chce się orzeźwić u źródeł żywota; dusza pragnie skruszyć więzy ciała, które ją zakuły w niewolę i jak wygnanka płonie żądzą powrotu do ojczyzny, ucieczki.“ Stach z Konar wyśledził był knowania trucicieli, ale ciężko przez nich ranny, przeszkodzić zbrodni nie zdołał.

Z tego krótkiego streszczenia jest już rzeczą widoczną, że właściwym bohaterem opowiadania jest Kazimierz Sprawiedliwy, a Stach z Konar, postacią drugorzędną. Wzmiankowaliśmy już o wierności historycznéj i o pracowitéj skrzętności autora, który zbierał mozolnie kamyki do swojéj mozaiki, ułożonéj w całość tak różnobarwną i świetną. Bogactwo szczegółów historycznych, zarysów obyczajowych i życia umysłowego zarówno jak praktycznego owéj epoki jest tu tak znaczne jak bodaj w żadnéj z poprzedzających powieści; obfitość działających postaci, historycznych, nawpół historycznych i urojonych jest tak wielką, a rozmaitość ich charakterów tak wybitną że sprawozdawca ma tu niewyczerpany materyał do uwag i porównań historycznych, obyczajowych, estetycznych i psychologicznych.

(d. n.)

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w czwartym kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie,** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w kwartale IV roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie, ulica Chmielna N. 20.*

Przyjaciela Dzieci Nr. 38 wyszedł z druku i zawiera:

Surynam (z drzeworytem). — O Warszawie (wiersz). — Wyjątki z podróży po Hiszpanii. — Opowiadania historyczne. w Dodatku: Nad przepaścią.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 37 wyszedł z druku i zawiera:

Wystawa rolnicza.—Przegląd pism rolniczych zagranicznych.—Leczenie wołom zepsutych karków od jarzma. O tępieniu ognichy, modraku i maku.—Koń.—Korespondencya Tygodnika. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: *Do Redakcyi* ***Tygodnika Rolniczego*** *w Warszawie, Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 4 Сентября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 38 r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

„O! mój ukochany, mój biedny Gordonie, pomyślała, przebolałeś już tak wiele, trzebaż było aby jeszcze ten cios, ze wszystkich najstraszniejszy, dotknął cię teraz?

Wyszła natychmiast. Jeżeli wrócił, musi być w salonie; czuła że nie powie nic matce dopóki się z nim nie zobaczy. Nie pomyślała o bladości pokrywającéj jéj lica, i o zaczerwienionych od płaczu oczach; on był sam ze swą boleścią, powinna pójść do niego.

Wrócił rzeczywiście. Zobaczyła go otworzywszy drzwi cicho. Siedział na tem samem miejscu na którem ona siedziała trzy godziny temu. Trzy godziny! czy rzeczywiście tylko trzy godziny upłynęły od tego czasu? Jéj się zdawało że przynajmniéj trzy lata. Wsparł ręce na stole i pochylił na nie głowę, cała jego postawa zdradzała głęboką rozpacz.

,,Mój ukochany!... mój ukochany!... myślała, patrząc na niego ze łzami w oczach.

Nie zobaczył jéj i nie usłyszał kiedy otworzyła drzwi i zbliżała się do niego, dopóki nie zawołała kładąc rękę na jego ramieniu:

,,Gordonie!

Podniósł wtenczas głowę i spojrzał na nią z wyrazem takiéj boleści, iż uczuła że przez całe życie nie zapomni tego spojrzenia. Jednak pomimo dręczącéj go boleści dostrzegł że twarz jéj była zmieniona.

,,Ty płakałaś, odezwał się przygłuszonym głosem.

Przez te kilka miesięcy które spędzili razem, nie widział nigdy śladu łez na wypogodzonéj twarzy Fanny, i teraz widok tych zaczerwienionych oczu i nie oschłych jeszcze łez na policzkach, nową boleścią przeniknął jego serce.

,,Co się stało? zapytał zmienionym zawsze głosem. Złe wieści biegną szybko, ale wątpię aby ta którą ci mam powiedzieć doszła już do ciebie. Fanny, ukochana moja, co ci się stało?

Wysunęła ręce z jego dłoni, i zasłoniła niemi oczy.

,,Gordonie! wykrzyknęła rozpaczliwie, nie mogę pogodzić się z tą myślą. Wiem... odetchnęła głęboko, wiem wszystko!

— Wszystko?...

Zwrócił na nią oczy, a twarz pobladła mu strasznie.

— Fanny, co przez to rozumiesz, mówiąc: wiem wszystko?

— Że... że... Słowa więzły jéj w gardle, nie mogły się przesunąć przez spieczone usta. Felicya tu była! zawołała nakoniec rozpaczliwie i odsunęła się do okna.

Wychodziło ono na bulwar olśniewająco oświetlony. Gwiazdy iskrzyły się na niebie. Powozy wiozące elegancko ubrane kobiety toczyły się w tę i ową stronę; świetne życie najświetniejszéj stolicy świata, przedstawiało się tam w całym swym blasku. Fanny oparła czoło na szybie i pomyślała z goryczą: że wczoraj o téj porze była szczęśliwszą od najszczęśliwszéj z tych wybranek losu snujących się przed jéj oczyma.

Gordon Caryll patrzył na nią milcząc, odurzony tem co mu powiedziała. Nie przypuszczał nigdy aby ta kobieta mogła do tego stopnia posunąć swą czelność, aby poważyła się wejść do tego domu.

— Fanny, zawołał zarumieniony z gniewu. Co mówisz? Ta kobieta ośmieliła się przyjść do ciebie!

— O! tak; ale nie gniewaj się Gordonie. Cóż znaczy od kogo otrzymałam tę wiadomość, skoro zawsze musiała dojść do mnie? Biedna kobieta; nie możemy brać jéj za złe że jeszcze nie umarła.

— Biedna kobieta? powtórzył z goryczą. Wyrażasz się tak o Felicyi, o téj nikczemnej istocie? Jestże to możliwem abyś się nad nią litowała?

— Tak, Gordonie, żałuję jéj szczerze, bo wszakże i ona kiedyś cierpiała tak jak ja dziś cierpię.

Milczał chwilę, chcąc zapanować nad sobą. Rumieniec gniewu znikł z jego twarzy, a miejsce jego zajął wyraz beznadziejnéj boleści.

„Kiedy ona tu była? zapytał nakoniec. Co ci powiedziała?

— Przyszła tu po południu, około trzeciéj, i powiedziała mi że... jest twoją... twoją żoną.

Siły ją opuściły przy tych słowach, głos zatrzymywał się w piersiach; umilkła załamawszy rozpaczliwie dłonie.

Przybiegł do niéj uchwycił jéj ręce i uścisnął silnie.

— Ona nie jest moją żoną! zawołał z gniewem. Już od wielu lat prawo uwolniło mnie od tego bezrozumnego, szalonego związku. Fanny, dla czego mamy z jéj powodu wyrzekać się szczęścia na całe życie? Dla mnie nie jest ona niczem więcéj nad te wszystkie kobiety które wczoraj występowały obok niéj na scenie; nie może miéć prawa rozłączenia nas z sobą, nie powinna miéć możności zatrucia twojego życia jak już zatruła moje. Fanny, ja nie mogę wyrzec się ciebie; nie patrz tak na mnie... powtarzam że nie chcę wyrzec się ciebie. Będziesz moją żoną.

Spoglądała na niego ze smutkiem, gdy tak mówił zacisnąwszy zęby, z błyszczącemi ogniem oczyma.

— Puść mnie, Gordonie, rzekła. Był jéj posłusznym. Wiesz dobrze iż nie mogę zostać twoją żoną, bo ona nią jest pomimo rozwodu. Boleję nad tem, przez wzgląd na ciebie i na siebie samą, boleję więcéj niż to wysłowić zdołam, ale nie ma na to rady i nie powinienbyś żądać odemnie niepodobieństwa.

Upadł milcząc na krzesło stojące we framudze okna, i pochylił czoło na rękę.

— Wybacz mi, rzekł z goryczą, nie obrażę cię już więcéj podobnem wymaganiem. Nie trudno ci będzie zapewnie wyrzec się mnie, bo sam to wiem dobrze że nie przedstawiam wielkiéj wartości, ale dla mnie nie jest to tak łatwem. Pokochałem cię z tym gwałtownym, szalonym zapałem, znamionującym wszystkie moje czyny i uczucia, a ta kobieta którą zaszczycasz swojem współczuciem zamieniła najpiękniejszą część mego życia w tak nędzne, opłakane istnienie, że teraz kiedy zabłysło mi szczęście, kiedy nadzieja wróciła do serca, zdaje mi się to rzeczą straszną aby mogła zjawić się nagle, po to aby zniweczyć je na zawsze. Odpokutowałem już dostatecznie za szał młodości, jestem tego pewnym, musisz więc przyznać sama że to dla mnie cios straszny i niesprawiedliwy.

Patrzyła na niego z wyrazem niewysłowionéj boleści i wyrzutu! Więc to Gordon tak mówił do niéj?

„Nie trudno mi będzie wyrzec się ciebie! powtórzyła drżącemi usty. Nie przedstawiasz dla mnie wielkiéj wartości! A! Gordonie, nie zasłużyłam na to. Mówią że serce pęknąć może, ale nie wierzę temu skoro moje dziś nie pękło. Słuchaj Gordonie, kocham cię tak silnie że gotowabym dla ciebie wszystko przecierpieć i wszystko uczynić prócz wyrzeczenia się moich przekonań religijnych, a te zabraniają mi zaślubiać człowieka którego żona jeszcze żyje, pomimo że został z nią rozwiedzionym. Będę cię kochać do ostatniéj chwili życia, i nie mogłabym nie kochać choćbym nawet chciała: pozostanę ci wierną do śmierci i przez wszystkie dni życia mojego będę błagać Boga o spokój i szczęście dla ciebie. Nie mów już do mnie z tak gorzkiem szyderstwem, i bez tego przygniata mnie ciężkie brzemię smutku.

Jéj słowa i wyraz cierpienia z jakim były wymówione, wzruszyły go głęboko, nie mógł już ani gniewać się ani powstawać przeciwko jéj postanowieniu.

— Przebacz mi, Fanny, masz słuszność; jesteś jak zawsze najlepszą, najszlachetniejszą, najmężniejszą, ale to właśnie tem dotkliwiéj daje mi uczuć jak wiele tracę tracąc ciebie.

Nastąpiło dość długie milczenie, w ciągu którego patrzyli bezmyślnym wzrokiem na rozwijającą się pod ich oknem świetną panoramę, aż nareszcie Fanny zapytała:

— Czy od razu poznałeś ją wczoraj?

— Tak, zaledwie ukazała się na scenie. Czy przypominasz sobie Fanny ten bal który lady Dynely wydała zeszłéj jesieni? Zobaczyłem wtenczas jéj portret na okładce walca skomponowanego dla niéj przez księcia Venturini, i uderzyło mnie to nadzwyczajne podobieństwo, ale nie mogłem uwierzyć że to ona, zdawało mi się to zbyt straszne aby mogło być prawdą. To tylko, myślałem, ktoś bardzo do niéj podobny, może jéj siostra albo jakaś krewna; bo ona nie żyje, nie mogę nawet wątpić że umarła. Tak łatwo wierzyć w to w co uwierzyć pragniemy. Następnie nie myślałem już o niéj, aż do chwili w któréj zobaczyłem ją na scenie.

— Poznałam z wyrazu twéj twarzy że cię musiało spotkać coś niezwykłego, rzekła Fanny, ale nie domyślałam się nic podobnego.

— Nie mogłaś domyśléć się tego. O! moja droga, biedna Fanny, więc nie dosyć że złamała moje życie, trzeba było jeszcze aby zatruła i twoje! Jakże

to straszna, jak bolesna myśl dla mnie że będziesz cierpiéć za moje winy!...

— Wszyscy cierpimy za nasze własne lub czyjeś winy; takie już przeznaczenie człowieka. Możemy słusznie przyjąć za godło wojenny okrzyk dawnych Krzyżowców. „Bóg tak chce.“ Nie mówmy więc o tem co jest nieuniknionem, dodała łagodnie i starajmy się mężnie znosić nasze cierpienia. Byłeś u niéj dziś rano?

— Tak, chciałem pozyskać zupełną, niewątpliwą pewność, zanim zobaczę się z tobą. Wiedziałem że według twego przekonania rozwód nie wrócił mi zupełnéj wolności. Moja ukochana, myśl że stracę ciebie jest dla mnie stokroć straszniejszą nad śmierć samą.

— Nie mów tego, rzekła z ciężkiem westchnieniem, o! nie mów tego Gordonie.

Ujął jéj rękę i przycisnął do ust swoich.

— Zobaczyłem ją, mówił daléj, i przekonałem się że muszę wyrzec się nawet nadziei szczęścia. Miałem przed oczyma tę którą zaślubiłem siedemnaście lat temu w Kanadzie, i była to Felicya. Nadeszła dla niéj godzina zemsty, i sądzę że musi być zadowolnioną. Córka jest przy niéj. Czy ci to powiedziała.

— Tak. A! Gordonie, gdyby przynajmniéj zechciała ci ją oddać.

— Odda, rzekł Gordon zaciskając usta, jeżeli nie z własnéj chęci to pomimo woli... nie jest to stosowna opiekunka dla młodéj panienki. Dennison mi dopomoże, i jakiegobądź wypadnie użyć sposobu, córka moja będzie pod moją opieką.

— Terry? zapytała zadziwiona Fanny.

Caryll opowiedział jéj w krótkości całe zdarzenie jak Terry spotkał na ulicy młodą nieznaną mu panienkę i odprowadził ją do Felicji.

„Dennison potrafi dochować tajemnicy; znam mało ludzi w których pokładałbym tyle co w nim zaufania. Czy nie masz nic przeciwko temu abym mu powiedział wszystko, zupełnie wszystko?

— Nie, Terremu wszystko można powierzyć o Eryku nie powiedziałabym tego.

— Eryk jest bezrozumnym szaleńcem, odpowiedział pogardliwie Gordon. Ale muszę uwiadomić matkę.

— Tak, to jest koniecznem. Biedna babunia dla niéj także będzie to cios ciężki do zniesienia.

Uchwycił się téj myśli, jak tonący wystającéj nad wodą gałęzi.

— Fanny, czy to rzeczywiście potrzebne abym odjechał i zostawił ciebie i matkę samą?

— Wiesz dobrze Gordonie że tak być musi.

— Nie, nie wiem tego, zawołał z żywością. Jeżeli nie wolno nam się połączyć, to przynajmniéj możemy pozostać obok siebie, złączeni węzłem przyjaźni.

— Nie możemy pozostać razem, odpowiedziała łagodnie lecz stanowczo; ale masz słuszność że miejsce twoje jest obok matki. Poproszę lady Dynely aby mnie odwiozła do Anglii.

— Pozostań Fanny, rzekł powstając z krzesła, i przebacz mi raz jeszcze. Ja odjadę, tak będzie lepiéj, i odjadę zaraz jutro.

Zamilkli. Serce Fanny przejęte straszną boleścią biło gwałtownie. Za kilka minut pożegnają się na zawsze.

— O! to straszne! straszne! straszne! wołało buntujące się jéj serce, kiedy patrzyła jak stał przed nią z głową pochyloną na piersi, w rozpaczliwéj postawie. Czuła że głębokie uczucie litości ogarnia całą jéj istotę.

Powóz jakiś zaturkotał i zatrzymał się przed bramą. Wysiadł z niego Eryk, znużony widocznie dniem który poświęcił wyłącznie swym obowiązkom, i podał rękę matce i żonie.

— To oni wrócili, rzekł cofając się Caryll. Nie chcę spotkać się z nimi. Pożegnaj odemnie jutro Lucyę, powiedz jéj że prawdopodobnie już się nie zobaczymy.

Uścisnął z najżywszą czułością obie jéj ręce, i wpatrzył się w nią jak się wpatrujemy w twarz najdroższéj osoby, leżącéj już w trumnie, zanim nad nią zamkną wieko.

— Gordonie! zawołała, gdzie pojedziesz?

— Nie wiem... Wszystko to jedno.

— Będziesz pisał do... matki.

— Tak, będę pisywać. Pójdę do niéj i pożegnam Zobaczę się także z Dennisonem przed wyjazdem z Paryża. O! Fanny!... moja ukochana Fanny... jakże trudno rozstać się z tobą.

Słychać było głosy i stąpanie na schodach; chwilka jeszcze a lord i obiedwie lady Dynely wejdą. Objął ręką jéj kibić i po raz ostatni przycisnął do serca.

„Bądź zdrowa, Fanny moja, żono moja, szczęście moje, żegnam cię!

Odszedł, a Fanny drżąca, blada, bez tchu prawie otrętwiała, upadła na krzesło.

W taki to sposób rozłączyli się z sobą.

Rozdział XIV.

Spokój rozpaczy.

Żeby też tu nie weszli, żeby nie weszli! powtarzała w myśli Fanny, upadająca pod brzemieniem przygniatającego ją nieszczęścia, i nie zdolna ani przemówić ani poruszyć się z miejsca. O! byleby przynajmniéj mogła pozostać sama.

Spełniło się jéj życzenie. Drzwi się otworzyły, zaszeleściała jedwabna suknia, i odezwał się głos lady Dynely:

„Jakże tu ciemno! Nie ma nikogo. Gdzież oni są?... Gdzie jest Fanny?

— Zapewnie u pani Caryll, mamo, powiedziała Iza. Ten ogromny salon sprawia na mnie jakieś niemiłe wrażenie, pomimo swéj wspaniałości. Pójdźmy lepiéj do buduaru mamy.

Odeszły, a Fanny odetchnęła jakby ją ominęło jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Powstała z trudnością i chwiejnym krokiem, prawie automatycznie odeszła do swego pokoju.

Przechodząc około drzwi pokoju pani Caryll zatrzymała się na chwilę, opanowana chęcią aby tam wejść, choćby miała spotkać się z nim znowu, i nie miéć dosyć siły aby mu nie powiedziéć: „Zostań, Gordonie!“ Dzień ich ślubu był już tak bliski, tak bliski, i byli tak szczęśliwi, tak zupełnie, niewypowiedzianie szczęśliwi.

Jakim prawem ta nikczemna zalotnica z umalowaną twarzą, stanęła pomiędzy nimi aby rozłączyć ich z sobą? Zdawało się przez chwilę że usłucha głosu kusiciela, ale zakryła twarz rękami, jakby nie chciała patrzyć na obraz szczęścia który przesuwał się przed jéj oczyma, i uciekła do swego pokoju. Światło było w nim już zapalone, zamknęła drzwi i rzuciła się na łóżko, gdzie przeleżała całą noc nieruchoma, pomimo że sen nie ukoił ani na chwilę jéj boleści.

Rodzina Dynelych sama tylko zasiadła do obiadu. Nikt nie umiał im powiedziéć co się stało z Caryl-l'em i panną Forrester. Pani Caryll nie przyjmuje nikogo; jest dziś bardzo cierpiąca, odpowiedziała jéj służąca na zapytanie lady Dynely. Drzwi panny Forrester zamknięte, i wnosząc z milczenia jakie zachowuje pomimo silnego pukania do jéj drzwi, możnaby sądzić że straciła słuch lub też żyć przestała. Doprawdy jest w tem coś dziwnego, i milady objawia swoje zadziwienie synowi i synowéj siadając z nimi do stołu.

Dla Eryka obiad ten był niewypowiedzianie nudnym! Musiał się wyrzec obiadu u Bignion, gdzie znajdowałby się w towarzystwie kilku najlepszych przyjaciół, aby pozostać w gronie rodziny, a co gorzéj nie pójdzie do teatru *Nouveautés*, tylko spełniając swój obowiązek, zaprowadzi żonę i matkę na Operę Włoską.

Pomimo to okazywał dość dobry humor, i blada twarzyczka Izy rozjaśniła się, a miły uśmiech błąka po jéj ustach. Mówi mało, ale jest szczęśliwa. Przez cały dzień Eryk był przy niéj, nią się tylko zajmował, i poświęci jéj jeszcze cały wieczór. Nie chce myśléć o jutrze; po co ma czynić smutne przypuszczenia.

Po obiedzie wyjechali do teatru; Patti występowała i wszystkie miejsca były zajęte.

„Gdyby choć Fanny była z nami, pomyślał Eryk ziewając może po raz dziesiąty, byłoby mi choć trochę znośniéj; człowiek obarczony czułemi nadskakiwaniami żony i matki, staje się przedmiotem politowania dla wszystkich.

W chwili, kiedy Eryk z żoną i matką wchodził do loży, Gordon Caryll wyszedł z pokoju matki. Twarz jego pokrywała śmiertelna bladość, ale głęboki spokój zajął na niéj miejsce rozpaczliwego oporu.

Takie było jego przeznaczenie, walka i opór na nic się nie zdadzą. To przekonanie skłania go do poddania się swemu losowi. Co się stało musiało się stać; nie ma na to rady; pozostaje mu tylko ukryć głęboko swą boleść, i zniknąć na zawsze.

Wszedł do swego pokoju, gdzie oczekiwał na niego dawny i wierny sługa, Norton. Kazał zapakować dla siebie mały tłomoczek, a przy końcu tygodnia Norton uda się z resztą rzeczy do Liwerpoola. Służący wysłuchał rozkazu z niewzruszonym spokojem, nie zdradzając niczem głębokiego zadziwienia.

„Co się to znaczy? zawołał po oddaleniu się pana; po co ten nagły wyjazd? Mieliśmy się żenić, byliśmy już w ambasadzie angielskiéj, a teraz pakujemy na gwałt rzeczy i jedziemy do Liverpoolu. Chciałbym wiedziéć gdzie się ztamtąd udamy?

Gdzie? do Ameryki, Kaliforii, Newady, Oregonu, w dzikie, mało znane jeszcze strony. Nie dla tego aby zapomniéć, bo to byłoby niepodobieństwem, ale w przekonaniu że życie wśród ciągłych trudów i niebezpieczeństw nieodłącznych od pobytu między dzikimi ludźmi, zdaje się łatwiejszem do zniesienia dla tego co stracił wszelką nadzieję szczęścia.

Opowiedział wszystko matce, która wysłuchała go z bolesnem zadziwieniem, i z tak gorącem współczuciem, że jéj trudno było wyrazić je słowami. Syn był dla niéj wszystkiem na świecie; w nim zawierało się całe szczęście jakiego mogła jeszcze doznawać na ziemi i znów miała się go wyrzec... Musi odjechać. Skoro ta kobieta stanęła pomiędzy nim i Fanny, było lepiéj, daleko lepiéj, aby się rozłączyli.

„Wolę odjechać, powiedział. Nie dla tego aby zapomniéć lub mniéj cierpiéć, bo tego ani się spo-

dziewam ani pragnę; lecz aby się nie stać przedmiotem ciekawości i obmowy ludzkiéj. Może to ktoś nazwie brakiem odwagi, ale raz już przeszedłem tę próbę i...

Zęby mu zaszczękały i musiał się zatrzymać.

— Jednak zostanę jeżeli życzysz sobie tego, matko, dodał po chwili milczenia. Pozostanę z tobą a... zatrzymał się znów i westchnął głęboko, ona może wrócić do Anglii z lady Dynely.

Ale matka, pomimo że obecność jego była dla niéj najwyższem i jedynem szczęściem, odpowiedziała tuląc głowę jego w swych dłoniach:

„Jedź mój synu. Fanny ma słuszność; nie może zostać twoją żoną skoro ta kobieta żyje, i dla tego lepiéj abyście się rozłączyli stanowczo. Powinieneś odjechać, a ja będę prosić Boga aby się zlitował nad tobą, i dodał ci męztwa.

Było to smutne i uroczyste pożegnanie, a ze strony pani Caryll tak macierzyńskie, tak pełne czułości, i połączone z błogosławieństwem i tak gorącą modlitwą, że w serce Gordona miotane oburzeniem i namiętną rozpaczą wstąpił spokój, spokój względny przynajmniéj, powierzchownie tylko zabliźniający ranę serca spokój rozpaczy. Wyszedł z hotelu bardzo blady i smutny, ale na pozór nie było w nim innéj zmiany.

Musiał przed wyjazdem zobaczyć się jeszcze z Dennison'em. Udał się do Wielkiego-Hotelu, gdzie zastał go chodzącego po dziedzińcu, i widocznie znużonego.

— Jak się masz Caryll? odezwał się Terry, powstrzymując ziewnięcie. Umieram z nudów, od samego rana nie spotkałem znajoméj twarzy. Byłem u was, ale wszyscy byli niewidzialni, śpiący czy umarli. Eryk odgrywa dziś rolę dobrego męża i syna, towarzyszy żonie i matce, a w duszy uważa się za męczennika i wzór poświęcenia. Ale co ci się stało, mój drogi? teraz przyjrzawszy ci się lepiéj widzę że musisz miéć jakieś zmartwienie.

— Wyjdźmy na ulicę, tam pomówimy z sobą, odpowiedział Caryll. Mam ci powiedziéć coś ważnego. Chodźmy w tę stronę, Dennison'ie, wyjeżdżam jutro.

— Wyjeżdżasz? powtórzył Terry z zadziwieniem.

— Tak, wyjeżdżam aby nie wrócić więcéj, pójdę gdzieś na koniec świata. Wszystko już skończone między mną i... czy nie się nie domyślasz Terry? Sądziłem że odgadłeś wszystko jeszcze wczoraj wieczorem. Żona z którą się rozwiodłem jeszcze żyje; widziałem ją wczoraj... Jest to Felicya!

Dennison patrzył na pół odurzony na niebo iskrzące się gwiazdami, na osoby snujące się przed jego oczyma, a w końcu zawołał:

— Czy to być może?

Caryll milczał, zacisnąwszy silnie usta. Szli tak obok siebie czas jakiś, dopóki Terry nie odezwał się znowu:

— Sądziłem że już umarła...

— Ja byłem tego pewnym, odpowiedział Caryll; takie było ogólne przekonanie w Kanadzie, i ogłosiły to wszystkie dzienniki. A jednak ona żyje dotąd... Felicya została moją żoną siedmnaście lat temu, i ta panienka którój pośpieszyłeś na pomoc onegdajszéj nocy, jest moją córką.

— To dziewczę z czarnemi oczyma? zawołał znów Terry.

— Zdawało mi się że już wczoraj domyśliłeś się wszystkiego. Poznałem ją wczoraj na scenie, a dziś rano byłem u niéj. Nie ma najmniejszéj wątpliwości. Felicya jest tą kobietą którą zaślubiłem kiedyś.

— Do licha! zawołał Terry. A Fanny?

— Z téj strony wszystko już skończone. W jéj religii nie istnieją rozwody. W oczach Fanny Felicya jest dziś jeszcze tak samo moją żoną, jak gdybym z nią wcale nie był rozwiedzionym.

Cóż na to mógł powiedziéć Terry? tem więcéj że nigdy nie był wymownym i nie odznaczał się wielką bystrością umysłu, ale w tym razie, milczenie miało prawie tyle znaczenia co słowa.

— Wyjeżdżam jutro, mówił daléj Caryll, a matkę i Fanny zostawiam pod twoją opieką, Dennison'ie. Kiedy się kończy twój urlop?

— Za dwa tygodnie.

— W takim razie będzie jeszcze dość czasu. Matka moja zamierza wrócić do Caryllina; bądź jéj towarzyszem w téj podróży. Możesz powiedziéć wszystko lady Dynely, ale nikomu więcéj, a tem mniéj Erykowi. Będą o tem krążyć różne domysły, komentarze, plotki, ale mniejsza o to, skoro nikt z nas słyszéć ich nie będzie.

— Ale, odezwał się Terry, czy Felicya dochowa tajemnicy? Utrzymują że to jest niepodobnem dla kobiety.

Zimny uśmiech przesunął się po ustach Caryll'a.

— Można być o to spokojnym skoro ich własny interes nakazuje milczenie. Felicya opętała księcia de Venturini, tak dalece że się chce z nią ożenić. Słyszałem że ślub ma nastąpić wkrótce. Książę nie domyśla się nawet że była kiedyś mężatką; oszukuje go ciągle. Ma w tym interes aby milczéć, i teraz kiedy już zasyciła swą zemstę, będzie milczéć z pewnością.

— Smutna to sprawa Caryll'u, rzekł Terry, i dotknęła mnie boleśnie. Niechaj piekło pochłonie tę kobietę! Zdaje się że po to tylko przyszła na świat aby źle czynić, i gubić wszystkich co się do niéj zbliżą.

— A teraz przystąpmy do innego jeszcze przedmiotu, mówił daléj Caryll, dla którego głównie chciałem się widziéć z tobą; idzie tu o moją córkę. Jakimbądź sposobem muszę ją odebrać od matki, i wziąść pod moją opiekę. I co do tego, rachowałem na twoją pomoc, Terry.

— Na moją pomoc?... zawołał z żywością Terry. Cóż ja mogę zrobić? Niepodobna mi pójść do Felicyi i żądać aby mi ją oddała, a tem mniéj wykraść jéj przy zdarzonéj sposobności. Nie, to niepodobieństwo. Jest to nikczemna istota i nie zasługująca na żadne współczucie, ale bądź co bądź jest jéj matką, a zatem ma prawo miéć ją przy sobie. Zapewnie ją kocha...

— Nie, Felicya nie kochała nigdy nikogo prócz siebie. Dziś jeszcze rzuciłaby swą córkę na los szczęścia, gdyby myśl pomszczenia się srożéj jeszcze nademną nie zachęcała ją do zatrzymania jéj przy sobie. Jestem pewnym że nie będzie dla niéj dobrą, i po kilku dniach biedne dziecko chętnie oddali się od niéj, a matka moja przyjmie ją z radością pod swoją opiekę. Trzeba koniecznie, Terry, abyś z nią pomówił w mojem imieniu. Niech się dowie prawdy; oddałeś jéj przysługę więc ci wierzyć będzie. Wytłomacz jéj wszystko; powiedz że znajdzie właściwsze dla siebie schronienie, że osoby z którymi ją łączą najbliższe związki krwi oczekują na nią i kochać ją będą. Ręczę ci że jak najchętniéj pójdzie za tobą.

— Dobrze, spróbóję... będę się starał wywiązać jak najlepiéj z tego zadania, odpowiedział Terry. Wierzaj mi, kochany Gordonie, że wszystko gotówbym uczynić dla ciebie i Fanny. Jakże ona i pani Caryll muszą być ciężko strapione.

— Tak, bezwątpienia... ale nie mówmy już o tem. Wiem że mogę ci zaufać Terry, i to przekonanie przynosi mi pewną ulgę. Zdaje mi się że powiedziałem ci już wszystko; czuwaj nad moją matką i nad Fanny; wyzwól moje dziecko z rąk Felicyi. Staraj się aby Eryk jak najprędzéj wyjechał z Paryża; wymaga tego szczęście jego matki i żony. Liczne i ciężkie pozostawiam ci do spełnienia zadania, zwłaszcza téż ostatnie, ale wiem że jeżli ci się nie powiodą, nie będzie to pochodzić z twéj winy. A teraz żegnam cię, prawdopodobnie na zawsze.

Uścisnęli się za ręce, i nie przemówiwszy już ani słowa, rozeszli się każdy w inną stronę.

Terry, z cygarem w ustach, z głową pochyloną w smutnem zamyśleniu, z rękami głęboko zapuszczonem w kieszenie, zwrócił się ku hotelowi.

„Jeżeli zły duch może zamieszkać na ziemi pod postacią człowieka, aby mu łatwiéj było źle czynić i kusić do złego, to obecnie przedzierzgnął się w Felicyę, mówił w myśli Dennison. Oby piekło powołało ją jak najprędzéj do siebie, bo inaczéj nie będzie końca złemu.

Nazajutrz rano lady Dynely zadziwiła się bardzo kiedy wchodząc na śniadanie do sali jadalnéj, nie zastała tam ani Fanny ani Gordona. Czekała na nich pół godziny, ale napróżno. Lady Dynely nie lubiła siedziéć sama przy stole, nic jéj w takim razie nie smakowało, dla tego téż zadzwoniła prawie z gniewem.

„Dziwna rzecz, pomyślała, przez cały wczorajszy dzień nie widziałam prawie Fanny i Gordona, a dziś dotąd jeszcze nie przyszli. Jednak oboje wstają zwykle bardzo rano.

Przyzwana głosem dzwonka, służąca weszła, i milady posłała ją natychmiast po nieobecnych. W dziesięć minut późniéj Simpsom powróciła.

„Panna Forrester jest jeszcze w swoim pokoju, cierpi na migrenę: kazała przeprosić milady i powiedziéć że przyjdzie dopiero na *lunch.* Pan Caryll wyjechał jeszcze wczoraj wieczorem, milady.

— Wyjechał?... powtórzyła zadziwiona.

— Tak, milady. Kazał wczoraj Norton'owi zapakować rzeczy, a następnie udać się wraz z nimi do Anglii. Pan Caryll wyszedł wczoraj późno wieczorem z hotelu, i już nie wrócił.

Rozdział XV.

Dwie boleści.

Lady Dynely słuchała tego z zadziwieniem połączonem z niedowierzaniem. Fanny słaba, Gordon wyjechał. Co się to ma znaczyć? W pierwszéj chwili chciała pójść do pani Caryll i zapytać co się stało, ale następnie zastanowiła się że lepiéj zaczekać aby ją uwiadomiono bez jéj nalegania. Stosownie do tego postanowienia kazała podać śniadanie, i zaczęła pić czekoladę o tyle spokojnie, o ile na to dozwalała rozbudzona ciekawość.

W godzinę późniéj, panna Forrester wyszła ze swego pokoju. Ranny jéj ubiór był równie świeży i gustowny jak zawsze, a śliczne włosy niemniéj starannie uczesane, ale nie pozostało ani śladu rumieńca na jéj pięknéj twarzy, a wielkie oczy straciły żywość młodości i wyraz szczęścia. Zdawało się że od wczorajszego wieczora długie upłynęły lata i przyćmiły jéj piękność. Udała się do pani Caryll, która siedziała już ubrana w fotelu, czekając na nią niecierpliwie. Skoro Fanny weszła, wyciągnęła do niéj ręce, i biedna dziewczyna nie wymówiwszy ani słowa rzuciła się w jéj objęcia, tuląc bladą twarzyczkę na jéj macierzyńskiem dla siebie łonie. Łzy nie płynęły z jéj oczu, ale z piersi wyrywały się konwulsyjne łkania.

„Moje dziecię!... moje dziecię!...

Przytuliła ją do siebie i pozostały tak czas jakiś w milczeniu. Łzy współczucia i boleści napełniały oczy matki Gordona, oczy Fanny były suche i rozpłomienione gorączką.

„Oddaliłam go od ciebie, wydarłam go twéj miłości! O! matko, przebacz mi; sądziłam że tak być powinno.

Westchnęła, mówiąc to, i podniosła głowę, po tem opuściła ją znów na ramię pani Caryll.

„Było to okrutne jak śmierć, stokroć jeszcze okrutniejsze, a jednak żądałam aby odjechał, rzekła znowu cicho i smutnie.

— Miałaś słuszność, drogie moje dziecię, odpowiedziała pani Caryll przyciskając ją do serca. Jakkolwiek silnem jest moje przywiązanie do niego, o tyle cenię twoje szczęście, że wolałabym się z nim na zawsze rozłączyć niżeli widzieć cię pod wpływem takiego cierpienia jak obecnie, lub jego żoną za życia téj kobiety. Żadne prawo ludzkie nie może zmienić prawa boskiego. Skoro była jego żoną siedmnaście lat temu... jak ty drżysz moje dziecię... czy ci zimno?... to jest nią do tego czasu. Miał prawo odtrącić ją od siebie przekonawszy się że jest go niegodną, że go oszukała; lecz i ty postąpiłaś słusznie oddalając go od siebie, kiedy dowiedziałaś się że ona dotąd żyje. Ale moje drogie, ukochane dziecię, jest to bardzo bolesnem dla ciebie, a dla niego jeszcze boleśniejsze...

— O! nie mów tego, nie mów matko! odezwała się z westchnieniem Fanny. Nie mogę jeszcze słuchać tego spokojnie. Ślub nasz miał odbyć się za dwa tygodnie, a teraz...

Rozpłakała się gorzko po tych słowach, a ten potok łez dowodził jawnie jak ciężka boleść opanowała jéj serce. Pani Caryll dozwoliła jéj płakać spokojnie na swem łonie, wiedząc dobrze jaką łzy przynoszą ulgę w cierpieniu.

I ona także nie mogła łez powstrzymać, ale z jéj oczu płyną one cicho. Umiała zawsze panować nad sobą, i dotąd jeszcze potrafi. Rozłączając się z synem tak niedawno odzyskanym, doznaje takiego uczucia jak gdyby jéj dusza rozłączała się z ciałem, ale nauczyła się cierpieć w ciągu tych długich lat pokuty i oczekiwania. Dla tego też czuje się zdolną wrócić Fanny jeżeli nie spokój to przynajmniéj męztwo, i przemawia do niéj z czułością, po macierzyńsku, a Fanny jéj słucha jak nie potrafiłaby słuchać nikogo prócz matki Gordona.

„Nie idzie mi już tyle o siebie, zawołała nakoniec z dawniejszą swą żywością, ale o niego. Tyle już wycierpiał, tyle lat spędził na wygnaniu, w biedzie i samotności, i to w najpiękniejszych latach życia; tak ciężko odpokutował to szaleństwo lat młodzieńczych! A teraz kiedy tak pragnęłam uczynić go szczęśliwym, kiedy już był nim nawet, w jednéj chwili wydarto mu wszystko, ojczyznę, matkę, żonę, i musi na nowo rozpocząć osamotnione i tułacze życie. O! matko, matko, wzbudź we mnie męztwo do zniesienia tak strasznéj boleści, szarpiącéj mi serce!

Głośne łkanie znów przerwało jéj mowę. Każde z jéj słów budziło echo w sercu biednéj matki, i była to może pokuta za jéj dawniejszą zbytnią surowość dla syna, bo ciężko, ciężko jéj było słuchać tego. Obiedwie myślą o nim, że znów musiał porzucić wszystko i wieść wśród obcych ludzi smutne, pozbawione wszelkiéj nadziei życie, i o téj kobiecie któréj pomyślność wzrasta ciągle, piękność rozwija się coraz więcéj, otoczonéj hołdami, chlubiącéj się ze swéj zemsty i narzeczonéj księcia; i myśląc o tem muszą przyzwać na pomoc wszelkie uczucia jakiemi chrześcianizm może natchnąć serca, aby jéj nie złorzeczyć.

Minął nakoniec ten straszny paroksyzm boleści, jak wszystko na świecie przemija, i Fanny, siedząc na poduszce przy nogach pani Caryll, z głową wspartą na jéj kolanach słuchała jéj planów na przyszłość, tak odmiennych, niestety! od wszystkiego czego spodziewało się serce biednéj dziewczyny, i czego wczoraj jeszcze słusznie spodziewać się mogło.

„Wrócimy do Anglii, Fanny, i zamieszkamy w Caryllinnie. Tak długo już stał opuszczony. Będziemy tam żyć spokojnie, modląc się i oczekując.

— Oczekując!... powtórzyła Fanny z goryczą. A! matko, czegoż jeszcze oczekiwać możemy?

Zamilkły obie. Dopóki ta kobieta żyć będzie, a wnosząc ze stanu jéj zdrowia zapewnie przeżyje ich wszystkich, czegóż na świecie Gordon spodziewać się może? Co do Fanny, pomyślała pani Caryll, kiedyś, z czasem, szczęście może jeszcze dla niéj zabłysnąć. Jest jeszcze tak młoda że można się tego spodziewać, ale dla niego nie ma już żadnéj nadziei.

„Może wolałabyś mieszkać w Rzymie, zapytała po chwili.

— Nie, odpowiedziała Fanny, wróćmy do Caryllynna; to miejsce jego urodzenia. Będę tam mniéj nieszczęśliwą niż w każdem innem miejscu.

— Terry nas odwiezie, rzekła znów pani Caryll; on już wie o wszystkiem. Trzeba także, moje dziecię powiedzieć Łucyi; niepodobna ukrywać przed nią prawdy.

— Tak, ale sama jéj to powiedz matko, a czem prędzéj tem będzie lepiéj. Tylko proś jéj jak o łaskę dla mnie, niech się nie użala nademną, i nic mi o nim nie mówi. Może będzie najlepiéj posłać po nią zaraz, a ja wrócę do siebie. Mówiła że pojedzie z Izą do Versalu; niech się dowie o wszystkiem jeszcze przed wyjazdem.

Odeszła blada i smutna do swego pokoju, a lady Dynely dowiedziała się o nieszczęśliwem następstwie szalonego ożenienia się Gordona. Siedząc przy biednéj jego matce, słuchała z zadziwieniem i głębokiem współczuciem wiadomości o nowéj jego niedoli.

„Gdzie on jest teraz? pytała w myśli Fanny, nie zdolna zająć się żadnym innym przedmiotem:

Na drodze do Calais. Wsiadł do przepłynie kanał la Manche, a potem wsiądzie na pierwszy statek udający się z Liwerpoolu do Nowego-Yorku. W ten sposób rozpocznie powtórnie ciężkie życie tułacze, na które skazuje go ta zgubna istota, którą, na swe nieszczęście, pokochał i zaślubił przed laty.

Rozdział XVI.

Książę.

W bocznéj i spokojnéj ulicy, niedaleko ulicy de la Paix, gdzie panuje cisza przerywana tylko krokami rzadkich przechodniów, około dziesiątéj wieczorem, schodzili się liczni goście, do dużego i posępnéj powierzchowności domu, wznoszącego się w głębi kwadratowego dziedzińca. Byli to sami mężczyźni, a z ich ruchów i niespokojnego spojrzenia, łatwo było poznać że się obawiają aby ich nie spostrzeżono. Zamieniają wchodząc jakieś hasło z człowiekiem stojącym przy drzwiach, i zabawiwszy mniej więcéj kwandrans wewnątrz domu, wysuwają się z niego równie ostrożnie jak weszli, ustępując miejsca innym, nie mniej tajemniczym i podejrzanym przychodniom. Trwało to już od dwóch godzin, a ciągle zjawiał się ktoś nowy.

Ten dom należy do jego ekscelencyi księcia de Venturini, a książe jest naczelnikiem i duszą tajemnego włoskiego stowarzyszenia. Wyjechał na dwa miesiące za jakimś ważnym tajemnym interesem, i tego dnia dopiero wrócił, i wszyscy członkowie stowarzyszenia zawiadomieni o tem, przychodzili aby złożyć sprawozdanie ze swych czynności swemu naczelnikowi.

Na zewnątrz dom jest pogrążony w zupełnéj ciemności, wewnątrz korytarze i salony także zupełnie ciemne, jeden tylko pokój oświetlony rzęsisto, ten w którym książe Venturini przyjmuje podwładnych.

Siedzi przed stołem obciążonym stosami papierów listów i broszur. Jest nizki, chudy, żółty; pod szerokiemi brwiami połyskują dwa oczy czarne, żywe, przeszywające na wskróś jak sztylety, i harmonizujące doskonale z wązkiemi jak dwa sznureczki, silnie zaciśniętemi ustami. Stowarzyszeni wchodzą jeden po drugim, a on po kolei zapisuje ich raporta w księdze.

W rozmowie z przybywającemi daje dowody wielkiéj przenikliwości i bystrości umysłu; rozkazy wydaje tonem dumnym i imponującym, a w końcu odprawia każdego z nich bez wszelkich ceremonii.

Inne, obchodzące go bliżéj interesa czekają na załatwienie, interesa czysto osobiste; dla tego téż śpieszy się aby jak najprędzéj ukończyć te któremi zajmuje się obecnie.

Wybiła jedenasta. Pożegnał niecierpliwie ostatniego interesanta, rozparł się w fotelu, poprawił szpakowate włosy, i siedział kilka minut pogrążony w zamyśleniu. Zmarszczył brwi, a silnie zacięte usta tworzyły tylko wązką linię. W końcu pociągnął niecierpliwie sznur od dzwonka.

„Muszę dowiedzieć się jak najprędzéj czy to prawdziwe lub kłamliwe wieści, wyszeptał. Pujol i Paulina czuwają nąd nią pilnie, a są mi oddani duszą i ciałem. Mogę zawierzyć ich zeznaniu, a jeżeli mnie zdradza, biada jéj!...

Tenże sam człowiek który wpuszczał do domu stowarzyszonych, przybiegł na odgłos dzwonka.

Ukłonił się i czeka na rozkazy.

— Czy już wszyscy odeszli.

— Wszyscy, Ekscelencyo.

— Pujol już przyszedł?

— Od godziny czeka na rozkazy waszéj Ekscelencyi.

— Niech wejdzie.

Służący ukłonił się znowu i wyszedł.

Książę zaczął niecierpliwie bębnić na stole palcami jakiegoś marsza, ale Pujol wszedł wkrótce. Był to człowiek wysokiego wzrostu, ubrany w bogatą liberyę, a był lokajem Felicyi.

„A! Pujol! czekałeś podobno, jak mi Antoni mówił. Więc pani pozwoliła ci wyjść?

— Pani nic nie wie że wyszedłem. Pani przed godziną pojechała na bal Opery; prosto z teatru *Nouevautés*.

— A!

Ten wykrzyknik wydobył się z piersi księcia drgający, jak uderzenie dzwonu.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 38.

N. 1—2. Suknia z tuniką à panier. Patrz rycina 34 w N-rze 37.

Rycina 1 i 2 przedstawia przód i plecy gustownej sukni, której podaliśmy w małym formacie na ryc. 34 w N. 37, z wypisaniem całkowitych miar długości i szerokości. Część oznaczona literą *a* podaje połowę przedniego bryta tuniki, zszytej środkiem, przez przemarszczenie na długości 46 skróconej do 84 cent. *C* podaje połowę panier które również zeszywa się środkiem i przemarszcza trzy razy na długości 10 cent., a z boków ma zaszewki odpowiednie do figury. Przód tuniki sfałdowany z boków do 93 cent. i panier łączy się szwem w ca-



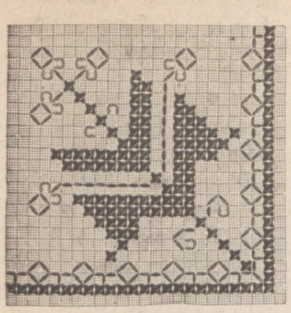
N. 1. Suknia z tuniką à panier. Patrz rycina 2 tudzież ryc. 34 w N. 38.

N. 3. Ubranie dla chłopca lat 3—5.

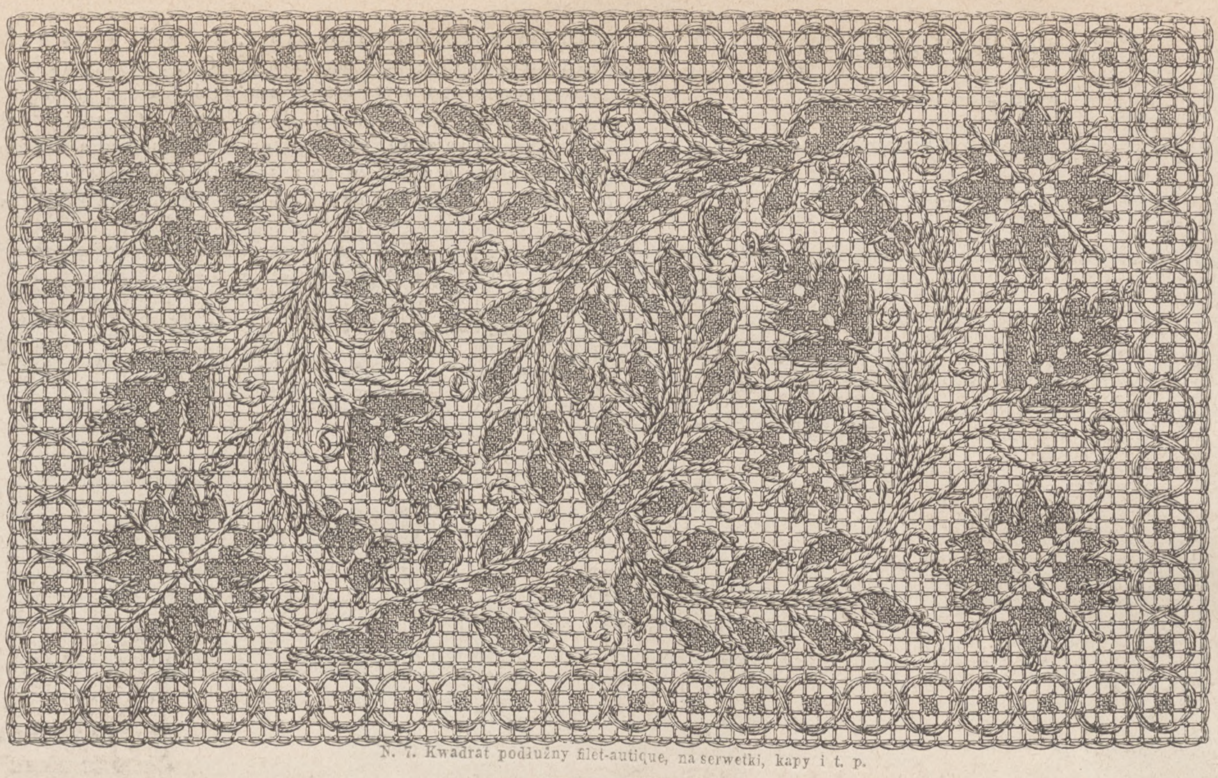
N. 2. Suknia z tuniką à panier. Patrz ryc. 1.

N. 4. Sukienka wycięta z chusteczką dla panienki lat 12—15.

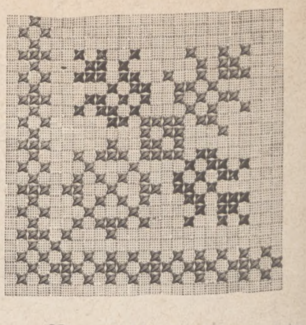
odrobienie nadaje się szczególniej do lekkich materyałów jak muślin, batyst, grenadyna lub t. p. cienkie wełniane tkaniny. Ubranie podane na ryc. 2 było z blado niebieskiego batystu, z kokardami z niebieskiej wstążki i z koronki 6 cent. szerokiej. Spódnicę podszytą szeroką muślinową listwą zdobią dwie plisowane falbany 10 cent. szerokie. Krój tuniki upiętej wprost na sukni, dopełnionej częściami à panier łej długości z brytem tylnym *b*, sfałdowany podług znaków i podług ryc. 1. Bluzka ma plecy założone w pięć fałd a z przodu po trzy fałdy i obciśnięta paskiem 8 cent. szerokim, dopełnionym z tyła krótkiem fałdowanem karczkiem; guziczki małe okrągłe. Kapelusz z białej słomki podszyty aksamitem, opasany blado niebieską gazą, spiętą agrafką. Suknia przedstawiona na rycinie 1 jest z białego kaszmiru



N. 5. Narożnik wyszyty krzyżykami.



N. 7. Kwadrat podłużny filet-autique, na serwetki, kapy i t. p.



N. 6. Narożnik wyszyty krzyżykami.

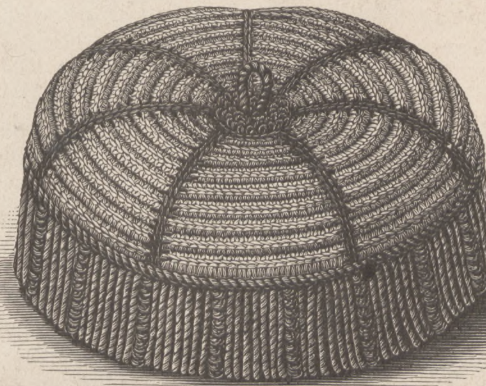
w deseń niebieski, ozdobiona białą koronką i niebieskiemi kokardami; przy spódnicy plisowanie 50 cent. szerokie.

N. 3. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5.

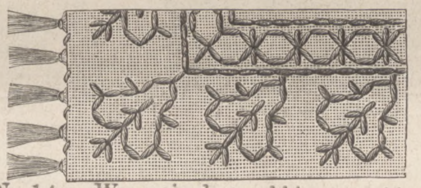
Wykończone z bronzowego szewjotu w drobną kratkę, ozdobione wypustką i złotemi guziczkami. Krój majteczek znajduje się w dawniejszych tegorocznych numerach; przypinają się one do spodniego staniczka, jak również i spódniczka fałdowana, na którą potrzeba kawałka 25 cent. szerokiego a 180 długiego; z przodu na 15 cent. szerokości zostawiona jest gładko, na około zaś równo zaplisowana. Paletocik u dołu wycięty w zęby, ozdobiony patkami przytwierdzonemi guziczkami. Kołnierz marynarski i wykłady bronzowe aksamitne, oszyte sznurem jedwabnym.



N. 10. Rękaw sięgający do łokcia.



N. 9. Podnóżek robotą szydełkową.



N. 14. Wyszycie do torebki na grzebienie.



N. 11. Rękaw krótki do strojnej sukni.



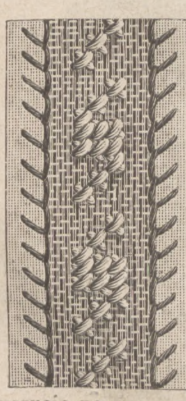
N. 12. Stanik z kamizelką.

N. 4. Sukienka wycięta i chusteczka, dla panienki lat 12—15.

Bufowana spódnica potrzebuje podszewki muślinowej w całej długości; u dołu dane szerokie plisowanie zakończone w górze oryginalnym garnirunkiem



N. 8. Kwadrat filet-antique, na serwety, kapy i t. p.



N. 15. Wyszycie na materyale w paski kolorowe.

złożonym z pukli i końców wyciętych w zęby, z wstążki atłasowej w dwóch kolorach, 4 cent. szerokiej. Nad puklami dane drugie plisowanie 8 cent. szerokie. Bryt tylny i boczne przepięte są kokardami z wstążki; stanik bluzkowy ma krótkie bufowane rękawki Chusteczka biała tiulowa ogarnirowana koronką bretońską 7 cent. szeroką; naszyjnik i bransoletki z czarnej aksamitki z przepięciami srebrnemi filigranowemi.

N. 12. Stanik z kamizelką.

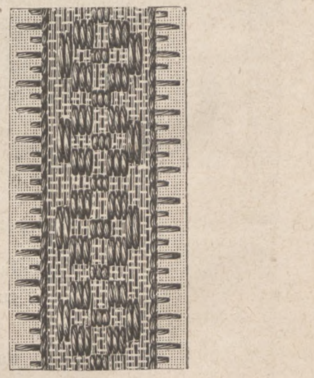
Odpowiedni do domowego ubrania, ma brzegi oszyte wypustką; w pasie zapina się tylko na dwa guziki a kołnierz szalowy ozdobiony kilkoma wązkiemi pliskami; do sukni z bronzowego beżu, kamizelka była z ciemniejszego atłasu.



N. 13. Vêtement à panier.

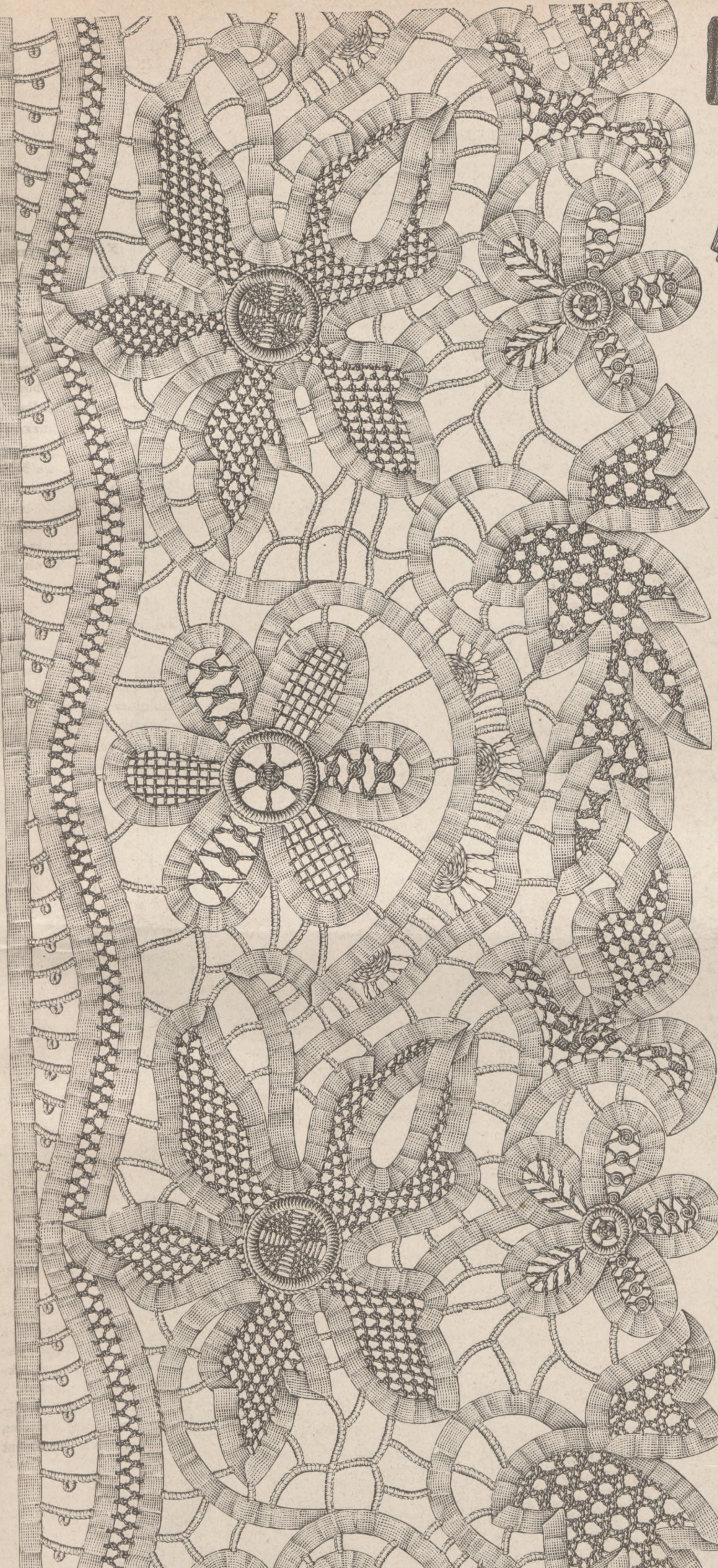
N. 13. Vêtement à panier.

Vêtement z przodu krótko a panier podpięte, z tyłu może być dopełnione krótszy lub dłuższym lekko podpiętym brytem i odpowiednie jest do plisowanej spódnicy. Rycina 13 przedstawia vêtement



N. 16. Wyszycie na materyale w paski kolorowe.

z piaskowego beżu, szeroko podłużnie otwarte z przodu, dopełnione szmi-



N. 17. Koronka wenecka z jedwabnej tasiemeczki i nici złotych.



N. 18. Serweta z haftowanym szlakiem na kanwie konopnej (mommie). Patrz ryc. 19.

N. 20 — 21. Suknia z długim stanikiem i kamizelką.

Uszyta z ciemno oliwkowego perkalu z kamizelką i przybraniem z materyału mille-fleurs, zaś do sukni z popielatego beżu jaką widzimy na ryc. 1 dane przybranie z materyału odpowiedniego koloru przerabianego w pasy. Spódnicę zdobi plisowanie zajmujące połowę długości, powyżej nad niem dane tunikowe upięcie, złożone z przedniego bryta 118 cent. długiego, u góry 100 u dołu 125 centym. szerokiego do którego przyszyta jest część deseniowa, również 125 cent. szeroka 40 długa, wycięta skośnie na 34 cent. wzdłuż. Przez założenie fałd poprzecznych draperya skraca się do 84 cent. długości, na bokach daje zaszewki odpowiednie do figury a u góry wszywa w pasek razetką z ponsowego atłasu, wyszytą ściegiem krzyżykowym, kolorowym jedwabiem. Brzegi vêtement oszyte plisowaniem 5 cent. szerokiem, przepinanem pukielkami z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej; rękawy mają toż samo przybranie.

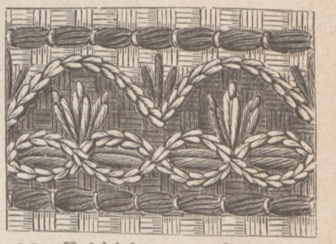


N. 20—21. Suknia z paletocikowym stanikiem i kamizelką.

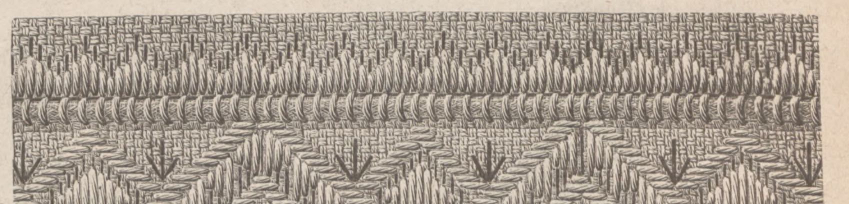
N. 17. Koronka wenecka z plecionki jedwabnej spajanej jedwabiem i złotą nitką.

N. 18 i 19. Serweta mommie ze szlakiem haftowanym na kanwie konopnej.

Bardzo pospieszne w robocie i efektowne są szlaki haftowane włóczką crewel, znaną także pod nazwą hamburgskiej; deseń szlaku na kanwowej serwecie rysuje się kolorowym ołówkiem, albo na serwetach z innego materyału przenosi się za pomocą szablonów. Szlaki takie najlepiej robić w jednym kolorze do cieniu i dobierać n i e jaskrawe lecz blade kolory. Rycina 19 wskazuje w naturalnej wielkości szlaczek wązki, dany z brzegów i łączący tło aksamitne ze szlakiem.



N. 19. Ząbki brzeżne do serwety ryc. 18.

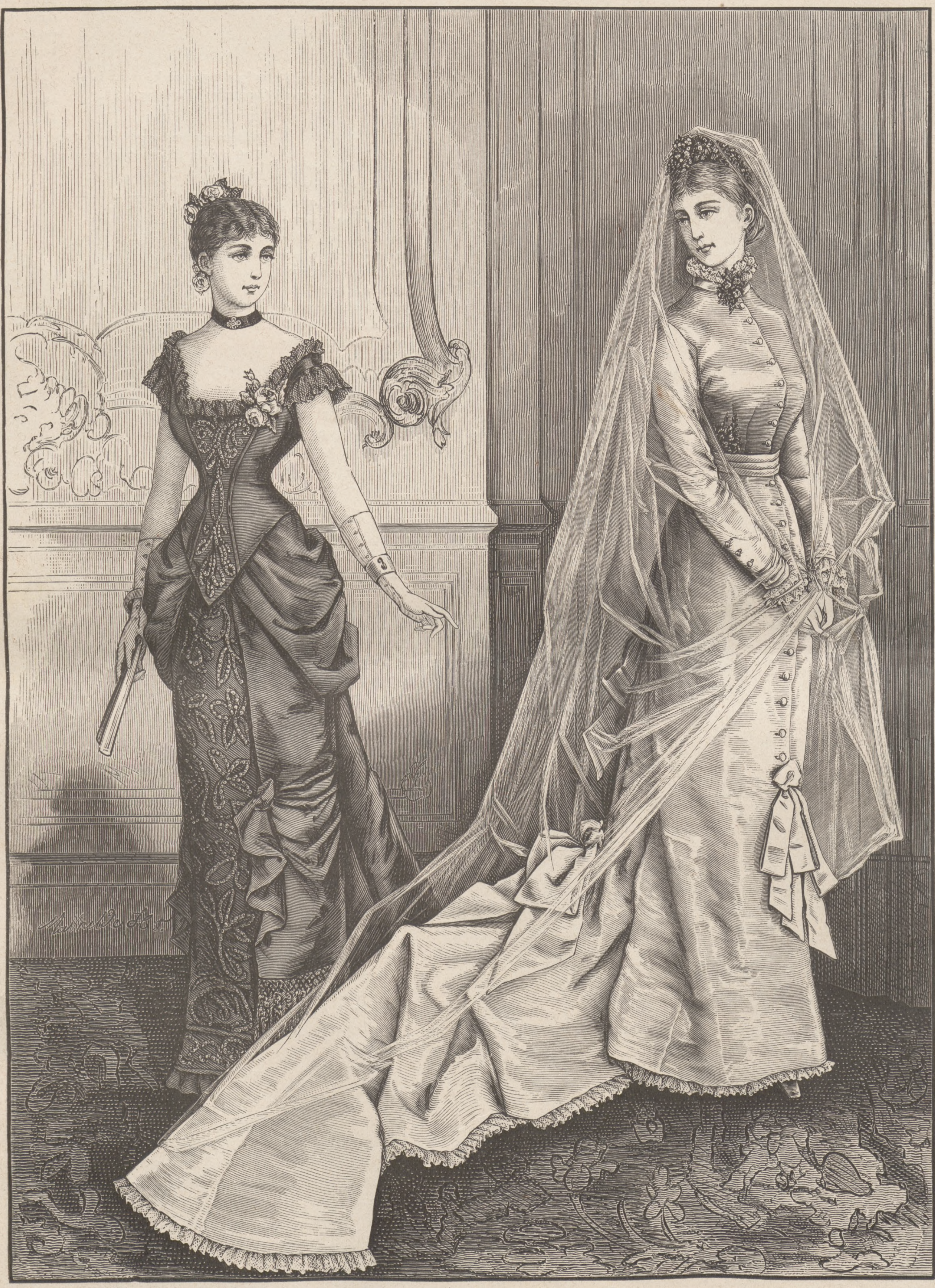


N. 22. Szlak na kanwie Jawa, do serwet, ręczników i t. p.

zem z suknią. Prosty bryt tylny 128 cent. długi a 60 szeroki, podpięty jest z każdego boku inaczej, przez założenie fałd poprzecznych różnej szerokości. Niezmiernie długi stanik z baskiną z szerokim kołnierzem nigdzie się nie schodzi i dozwala widzieć kamizelkę z tyłu na środku baskina jest rozcięta i dopełniona plisowaniem.

N. 23. Ubranie wieczorowe.

Rycina 23 przedstawia niezmiernie elegancką toaletę wykończoną z czarnego atłasu i ozdobioną kosztowną pasmanteryą. Tylne bryty



N. 23. Ubranie wieczorowe z czarnego atłasu i pasmanteryi.

N. 24. Ubranie ślubne formą princesse z białego atłasu.

tworzą jakby tren zwierzchni i nie mają żadnego garnirunku; przód sukni i stanika zdobi pasmanterya lub haft z domieszaniem matowych perełek. U dołu przodu i bocznych brytów dana falbana 10 cent. szeroka, ułożona w kontrafałdy, przyszyta 15 cent. szeroką plisą haftowaną. Draperya przy bocznych brytach zakończona szeroką siatkową frendzlą, ułożona w poprzeczne fałdy zszywa się z brytem tylnym a przy przodzie zebrana w fałdy wachlarzowe. Panier dodane w górze łączy się z brytem tylnym i nie ma żadnego garnirunku. Stanik przedłużony w bawet, krótko podpięty z boków, z tyłu ma długą fałdowaną baskinę, jest oszyty wypustką a w górze ogarnirowany koronką.

N. 24. Ubranie ślubne.

Jakkolwiek moda obecnie wymaga draperyi i panier jednak w ubraniu ślubnem pozostawia niezmienną dawną prostotę i skromność. Rycina 24 przedstawia wspaniałe a pełne mimo to prostoty ubranie ślubne z białego atłasu formą princesse. Suknia princesse z oddzielnie wstawionym trenem, niezmiernie długim, ściętym u dołu prosto, może być odrobiona także z repsu jedwabnego lub faille w dobrym gatunku. Przody zapinane są na guziki dłużej niż w połowie długości, a przy końcu zapięcia ozdobione wielką kokardą z wstążki repsowej 10 cent. szerokiej. Z tejże wstążki złożonej w fałdy dany jest pasek i plisy przy rękawach; przyszycie trenu i bryt tylny spięty jest kokardami z tego co suknia materyału. Brzeg sukni podgarnirowany koronką; mankiety i wykrój szyi ogarnirowane prawdziwą koronką. Wianek mirtowy i takież bukieciki pod szyją i z boku.